

MAGAZYN *razem z dodatkami*

- Wielka i całkiem nieoczywista klubowa kariera Roberta Lewandowskiego
 - Nasi zamieniają „Hello” na „Dzień Dobry”
 - Zgorszenie czy nagonka na proboszcza?
 - Związki jednopłciowe
- PLUS** TELEMAGAZYN z programem TV i zapowiedziami najciekawszych programów w tygodniu



Express BYDGOSKI

Piątek
22.05.2026

Nr 117 (11305)
Rok XXXVII

www.expressbydgoski.pl
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)



FOT. TOMASZ CZACHOROWSKI
W weekend będą zmiany w miejskiej komunikacji. Tramwaje pojadą inaczej **str. 4**

Zzera nas stres, depresja i wypalenie zawodowe. **Ratunek to psychiatra str. 6**

Nr ISSN 1230-9192

Nr indeksu 350680



Świętowano Dzień Strażaka



Uroczystości z okazji obchodów Dnia Strażaka zorganizowano wczoraj w Szkole Podoficerskiej Państwowej Straży Pożarnej przy ul. Glinki w Bydgoszczy **str. 6**

Ekspertyza potwierdziła, że kładka nad Wiślaną jest bezpieczna, ale wymaga naprawy **str. 6**

W Nowej Wsi Wielkiej otwarto „masowy front kolejowy”. Ma wzmocnić bezpieczeństwo **str. 9**

Masz dowód osobisty wydany na stałe. Nadal jest ważny, nie musisz go wymieniać **str. 4**

REKLAMA

0011516838

KENO+

MNOŻNIK

Wygraj

2 000 000 zł

i więcej!



Ale to **kręcęęęci!**

Graj z Mnożnikiem

Graj w punktach LOTTO, w aplikacji i na lotto.pl

18+

TYDZIEŃ Z „EXPRESSEM”

SOBOTA

● Izabela Kuna. O aktor-
stwie marzyła od dziecka

PONIEDZIAŁEK

● Sportowe wydarzenia,
wyniki i tabele z weekendu

WTOREK

● Strefa biznesu - analizy
i informacje gospodarcze

ŚRODA

● Przy takim obrzęku leki
na alergię nie pomogą

CZWARTEK

● W XIX i XX w. pito w War-
szawie tak samo ochotczo

PIĄTEK

● Kto bije bardziej: Polacy
Ukraińców czy odwrotnie?

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 52 511 94 64, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata.expressbydgoski.pl

Janusz Michalczyk

NIEKOCHANA
INTELEGENCJA

Czy pisarze są inteligentni? Czy sztuczna inteligencja powinna współpracować z ich inteligencją naturalną? Czy jak mawiał Janusz Głowacki, pisze się z głowy, czyli z niczego? Takie oto pytania przyszły mi na myśl, gdy przyrzekałem się najnowszej awanturze w światku literackim, która rozpętała się po tym, jak Olga Tokarczuk zasugerowała publicznie, że wykorzystuje w pracy sztuczną inteligencję. „Często wprost rzucam maszynie pomysł do analizy z prośbą: kochana, jak mogłybyśmy to pięknie rozwinąć?” - wyznała noblistka. Kiedy zagotowało się w internecie, wydała oświadczenie, podkreślając, że pisze sama, natomiast AI traktuje tylko „jako narzędzie pozwalające szybciej dokumentować i sprawdzać fakty”. Korzyść jest oczywista - po co śleścić godzinami w bibliotekach, jeśli po kilku sekundach potrzebne informacje zostaną wyświetlone na ekranie komputera?

Nie sądzę, żeby jej krytycy wzięli te wyjaśnienia za dobrą monetę. Raczej są one przeznaczone dla czytelników, którzy mogli poczuć się zdezorientowani. Sprawa jest delikatna, bo w tym roku ma się ukazać nowa powieść Tokarczuk i każdy, kto ją kupi, będzie się zastanawiał, ile zdań napisała własnoręcznie.

Znany z ciętego języka Szczepan Twardoch nie miał dla noblistki litości: „Wejście w »relację« z modelem językowym, czy to emocjonalną, czy twórczą, ma tyle sensu, co małżeństwo z wibratorem”. Zabawne, ale żarty na bok, bo w istocie powraca fundamentalne pytanie o sens pojęcia „prawda”. Czy jedno zdanie ułożone z pomocą AI przy pisaniu utworu literackiego albo choćby podsunęty przez nią pomysł należy uznać za oszustwo dyskwalifikujące całość pracy twórczej?

Marek Krajewski przyznał kiedyś, że wydawnictwo publikujące jego książki zatrudnia osobę, której zadaniem jest wynajdowanie w mediach opisów niezwykłych zdarzeń i podrzucanie ich pisarzowi do ewentualnego wykorzystania. Może dziś tę pracę wykonuje już AI, a ten człowiek tylko sprawdza, czy nie są to głupoty?

Sądzę, że nie tyle chodzi o jakąś abstrakcyjną prawdę, lecz o emocjonalną. Autor ma jakieś emocje, czytelnik też, zaś model językowy udaje. Problem w tym, że nawet u ludzi nie zawsze da się odróżnić prawdziwe emocje od udawanych. Dlatego czasem trzeba zaryzykować i uwierzyć na słowo.

POGODA W BYDGOSZCZY

Piątek

21°C
10°C

Wiatr
płn.-wsch., 14 km/h
Ciśnienie
1029 hPa
Biomet
neutralny

Sobota

26°C
10°C

Niedziela

27°C
13°C

Imieniny obchodzą dzisiaj Helena, Julia, Wiesław, Emil, Roman i Wisława

KRONIKA BYDGOSKA

To nie może być temat tabu. Matki mają głos

Ewa Czarnowska-Woźniak
ewa.czarnowska-wozniak@polskapress.pl

Rodzenie w Bydgoszczy nie było raczej najlepszym doświadczeniem. Czy to się zmieniło?

Jestem bydgoszczanką w pierwszym pokoleniu. I urodziłam się w... „jedynce”. Jak na świeżą bydgoszczankę mam jednak, jak widać, dość stare odniesienia, bo ktoś z młodszych ziomków kojarzy dziś, co to takiego... A zatem, serce szybko bije, gdy przejeżdżam współcześnie obok Szpitala Uniwersyteckiego nr 1 im. Dr. Antoniego Jurasza, gdzie w latach sześćdziesiątych mieścił się Szpital Ogólny nr 1. Miejski (!), podobnie jak Szpital Ogólny nr 2 na Kapuściskach. Stąd, powszechne wtedy określenia, że ktoś się leczył/rodził w „jedynce” albo „dwójce”. Tertium non datur. I ja jestem „jedynkowa” właśnie, o czym staram się z sympatią pamiętać, gdy dziś z jakimś smutkiem trzeba do „Jurasza” jechać, ale na SOR.

Gdy trzydzieści lat później sama miałam zostać mamą, mogło się wydawać, że żyjemy w całkiem innej rzeczywistości. Ze względów medycznych trafiłam do Szpitala Wojewódzkiego im. Dr. Jana Biziele (całkiem niedawno jeszcze wtedy



FOT. ARCHIWUM PPG/DARIUSZ BŁOCH

W bydgoskim „Bizieli” dba się dziś o różne formy wsparcia noworodków

będącego... Szpitalem Wojewódzkim XXX-lecia PRL). Imimo rozhulanego nazewnictwa - tylko mogło się wydawać. Zbyt wiele intymnych, bolesnych, bardzo osobistych doświadczeń z tym, z konieczności wielotygodniowym, pobytem się dla mnie wiąże, by przedstawiać je publicznie. Z całą pewnością jednak, warunki pobytu i opieki, jakie zaledwie trzydzieści lat temu miały w tym specjalistycznym, wojewódzkim przybytku kobiety ciężarne i położnice, niewiele musiały się różnić od tego, czego doświadczyła moja mama ponad sześćdziesiąt lat temu w starej „jedynce”.

Tak jak w telewizji śniadaniowej nie porusza się drastycznych tematów, tak lokalny felie-

ton nie jest miejscem na opis sytuacji odzierających kobiety z godności. Było brzydko, traumatycznie i samotnie. Finałnie, szczęśliwe zakończenie i powrót do domu z ukochaną córeczką przykryły przykrości. Nie na tyle, by wykosić je z pamięci ponad 30 lat później.

Z wielką zatem satysfakcją przeczytałam właśnie o preferencyjnej, bardzo dużej sumie pożyczki, którą szpital „Biziela” otrzyma z Kujawsko-Pomorskiego Funduszu Rozwoju i przeznaczy na kompleksową modernizację tamtejszego położnictwa i patologii ciąży. - Pieniądze przeznaczymy na poprawę warunków pobytu matek z dziećmi po porodzie - cytowana jest dr n. med. Agnieszka Rogalska, dyrektorka szpitala. - W pionie położnictwa i patologii ciąży funkcjonuje stara infrastruktura - szpital został zbudowany w latach 80. Najważniejszym celem jest poprawa warunków sanitarnych.

A więc kolejnych 30 lat później, położnice mogą wreszcie li-

czyć na to, że będzie im wygodniej, komfortowo. Nie mam już rodzinnych doświadczeń ani podstaw do wydawania opinii, jak teraz kompleksowo oceniają to miejsce panie będące w bodaj najważniejszym momencie życia. Z całą pewnością, dziś też młode kobiety bardziej zdecydowanie artykułują swoje potrzeby i zaspokajanie ich nie jest nareszcie w tej bardzo wrażliwej dziedzinie żadną fanaberią.

Ostatnie dni przyniosły również inną wartościującą nagrodę neonatologom z Biziela. Z okazji obchodzonego 15 maja Światowego Dnia Kangurowania, Fundacja MatkoweLove po raz szósty przeprowadziła Ogólnopolski Plebiscyt „Oddział Przyjazny Kangurowaniu”, w którym „Bizieli”, głosami rodziców (!) został wyróżniony jako jeden z pięciu oddziałów w Polsce, gdzie dba się o to, by noworodki miały zapewniony wszechstronnie dobroczynny kontakt „skóra do skóry” z rodzicem. Mnie tę nowatorską ówczesnie metodę zaproponowano w Bizieli w 1995 roku... po znajomości. Z całego serca życzę więc młodym mamom (i tatom), by każde doświadczenie szpitalne z ich pociechami były już wyłącznie dobre. Nie tylko w Bydgoszczy. I nie tylko z okazji Dnia Matki. ©©

Tak jak w telewizji nie porusza się drastycznych tematów, tak lokalny felieton nie jest miejscem opisywania wszystkich sytuacji.

W SOBOTĘ Z „EXPRESSEM”



FOT. EAST NEWS

Cher 20 maja 2026 roku skończyła 80 lat. Dzisiaj to jedna z ikon popkultury, ale jeszcze na początku kariery sprzedawała meble, by móc wyprodukować film. Po docenionych rolach w filmach „Silkwood”

(1983) i „Maska” (1985) ukoronowała karierę Oscarem za „Wpływ księżyca” (1987). Jest jedną z nielicznych artystek, które osiągnęły status „EGOT” (nagrody Emmy, Grammy, Oscar i Tony)! Szacuje się, że sprzedała ponad 100 milionów płyt.

Ponadto:

- Zabawne nazwy miejsc i atrakcji w Polsce.
- Zagwań ogrodowy ozdobi rabatę, skalniak i balkon.
- Herbata czarna, zielona czy biała. Każda jest korzystna dla zdrowia.



FOT. WIKIPEDIA

prof. Zbigniew Lewicki,
politolog, amerykanista

”

Jeżeli rzeczywiście to prawda, że decyzję o przyznaniu wizy Ziobrze i wpuszczeniu go do USA podjął zastępca sekretarza stanu, to jest to nieprawdopodobny polityczny skandal

Puls, str. 22

Stres nas zżera, dopada wypalenie zawodowe i depresja. Ratunkiem często L4 od psychiatri

Małgorzata Stempinska
malgorzata.stempinska@polskapress.pl

Dane ZUS są alarmujące: chorujemy częściej i dłużej. Lawinowo wzrasta liczba dni na zwolnieniach lekarskich. Najwięcej przybywa L4 wystawianych przez psychiatrów.

Nasza Czytelniczka na zwolnieniu lekarskim jest od początku marca. - Formalnie psychiatra wystawił mi L4 z powodu depresji, ale tak naprawdę to wykańcza mnie stres związany z moją pracą. Obowiązków przybywa, tempo jest szalone, często muszę pracować w weekendy, bo nie jestem w stanie wyrobić się z projektami. A w domu mąż i dwójka małych dzieci, które wymagają jeszcze dużo uwagi. Stwierdziłam, że dłużej tak nie dam rady. Lekarz wystawił mi receptę i dał zwolnienie. Mam odpocząć i zapomnieć na kilka miesięcy od pracy. Powiem szczerze - jest znacznie lepiej. Zamierzam korzystać z L4 tak długo,

jak jest to zgodne z przepisami - słyszymy.

Na L4 średnio jesteśmy 11 dni

W 2025 roku do ZUS wpłynęło ponad 27,5 mln zaświadczeń o czasowej niezdolności do pracy. - To przełożyło się na 290,5 mln dni nieobecności zarówno z powodu choroby własnej, jak i opieki nad dzieckiem lub innym członkiem rodziny. W przeliczeniu daje to około 795 tys. lat spędzonych na zwolnieniach lekarskich - zaznacza Krystyna Michałek, regionalny rzecznik ZUS województwa kujawsko-pomorskiego.

Przeciętna długość zaświadczenia lekarskiego wyniosła 11 dni, a otrzymał je statystycznie co drugi ubezpieczony w ZUS-ie. Choć ogólny czas trwania absencji rośnie, coraz częściej chorzy korzystają ze zwolnień krótkoterminowych. W 2025 roku wystawiono 9,8 mln zaświadczeń z tytułu choroby własnej na okres do 5 dni, czyli o 0,2 proc. więcej niż rok wcześniej



Psychiatry najczęściej wystawiali L4 z powodu reakcji na ciężki stres i zaburzeń adaptacyjnych, a także epizodu depresyjnego oraz innych zaburzeń lękowych

(w 2024 roku było to 9,5 mln), w tym 1,8 mln zaświadczeń jednodniowych (w 2024 roku - 1,7 mln).

Przybywa też zwolnień lekarskich w Kujawsko-Pomorskiem. W 2025 roku z powodu choroby własnej wystawiono

ich ponad 1,1 mln, co przełożyło się na 12,9 mln dni nieobecności w pracy. Oznacza to wzrost o 3 proc. (o 32,8 tys. wystawionych zwolnień) i o 2 proc. (o 231,3 tys. dni absencji) w porównaniu z 2024 rokiem.

Na co najczęściej chorujemy

Krystyna Michałek podaje, że w 2025 roku lekarze mieszkańcom regionu najczęściej wystawiali zwolnienia lekarskie z powodu:

- chorób układu mięśniowo-szkieletowego i tkanki łącznej - 17,9 proc. ogółu liczby dni absencji (2 302,9 tys. dni),
- zaburzeń psychicznych i zaburzeń zachowania - 17,1 proc. (2 205,0 tys. dni),
- urazów, zatruc - 12,7 proc. (1 631,5 tys. dni),
- chorób układu oddechowego - 12,5 proc. (1 612,9 tys. dni),
- ciąży, porodu i połogu - 12,4 proc. (1 602,7 tys. dni).

Coraz więcej zwolnień od psychiatrów

Lawinowo przybywa zwolnień lekarskich od psychiatrów.

W ciągu ostatnich siedmiu lat w całej Polsce ich liczba zwiększyła się o 51,3 proc., a liczba dni absencji chorobowej wzrosła o 68,7 proc. Niestety, nasz region nie odbiega od krajowej statystyki. W 2025 roku na Pomorzu i Kujawach osobom ubezpieczonym w ZUS-ie wystawiono 106,4 tys. zaświadczeń lekarskich z tytułu zaburzeń psychicznych i zaburzeń zachowania, obejmujących łącznie 2,2 mln dni absencji chorobowej. W porównaniu z rokiem poprzednim liczba zwolnień wzrosła o 7,6 proc., a liczba dni nieobecności w pracy - o 10,4 proc. Psychiatry najczęściej wystawiali L4 z powodu reakcji na ciężki stres i zaburzeń adaptacyjnych, a także epizodu depresyjnego oraz innych zaburzeń lękowych. - Pracownikom we znaki dawało się też wypalenie zawodowe przeważnie wynikające z nadmiernego obciążenia obowiązkami, brakiem równowagi między życiem zawodowym a prywatnym oraz złymi relacjami w miejscu pracy - podsumowuje Krystyna Michałek. ©©

Schrony pod boiskami Orlik? Ciekawy projekt zainteresował MSWiA

Wojciech Mąka
wojciech.maka@polskapress.pl

Podczas wydarzenia Defence24 Days, które miało miejsce w Warszawie, firma HOLDFORT S.A. zaprezentowała ORLIK S-1 - pierwszy w Polsce dwufunkcyjny schron.

Projekt spotkał się z pozytywnym odbiorem przedstawicieli Państwowej Straży Pożarnej oraz Departamentu Ochrony Ludności i Zarządzania Kryzysowego MSWiA. HOLDFORT prowadzi wstępne rozmowy dotyczące możliwości pilotażowego wdrożenia projektu we Wrocławiu.

ORLIK S-1 to schron kategorii S-1 dla 750 osób zaprojektowany pod standardowym boiskiem szkolnym o wymiarach 20x40 metrów. W czasie pokoju obiekt funkcjonuje jako komercyjny klub padłowy z trzema kortami (ta część podziemna), czynny całą dobę. W razie zagrożenia staje się w pełni operacyjnym schronem z autonomią 72 godzin.

Multum funkcji sportowych

- Projekt był prezentowany podczas Defence24 Days 6-7 maja i spotkał się z pozytywnym



ORLIK S-1 to schron kategorii S-1 dla 750 osób zaprojektowany pod standardowym boiskiem szkolnym o wymiarach 20x40 metrów.

nym odbiorem przedstawicieli PSP oraz Departamentu Ochrony Ludności MSWiA. HOLDFORT prowadzi wstępne rozmowy dotyczące pilotażowego wdrożenia - stwierdza Piotr Jarosz, prezes zarządu HOLDFORT S.A.

- ORLIK S-1 rozwiązuje jednocześnie dwa problemy, które blokowały dotychczas budowę schronów w polskich miastach. Pierwszym jest lokalizacja - Orliki i boiska szkolne należące do gmin są równomiernie rozmieszczone w tkance miejskiej,

dokładnie tam gdzie schrony są najbardziej potrzebne. W samym Wrocławiu jest ich ponad 240 na teoretycznie potrzebnych 347 budowli ochronnych. Drugim problemem jest finansowanie - funkcja komercyjna generuje przychody pokrywające większość nakładów inwestycyjnych i koszty utrzymania obiektu - mówi Jarosz.

Koszt spada wraz z wiekiem

Projekt realizowany jest w modelu partnerstwa pu-

bliczno-prywatnego. Państwo pokrywa jedynie 30% kosztu inwestycji w formie dotacji, co daje 4800 zł za jedno miejsce schronienia. W klasycznym modelu państwowym, gdzie budżet publiczny pokrywa 100% kosztów budowy, schron tej kategorii jest wielokrotnie droższy.

Po uwzględnieniu wpływów z CIT od dochodów inwestora przez 20 lat eksploatacji, które pokrywają 80% dotacji państwowej, rzeczywisty koszt netto dla skarbu państwa spada

do około 1000 zł za jedno miejsce schronienia w pełnym standardzie S-1.

- Nikt z miastem na ten temat nie rozmawiał. W tej chwili w najbliższych planach mamy budowę schronu pod targowiskiem na Placu Piastowskim, przy ul. Powstańców Wielkopolskich na parkingu Komendy Wojewódzkiej Policji i przy szpitalu Bizziela. Poza tym jest przygotowywanych 16 ekspertyz dotyczących schronów pochodzących z lat 60. Mają wykażać ich stan techniczny - mówi Adam Dudziak, szef Wydziału Zarządzania Kryzysowego bydgoskiego ratusza.

Jakie są założenia w przypadku Orlików?

Gmina wnosi wkład rzeczowy: grunt pod istniejącym boiskiem szkolnym, który i tak do niej należy oraz zwolnienie z podatku od nieruchomości. W zamian otrzymuje odciążenie organizacyjne i nie musi ponosić kosztów utrzymania schronu przez następne dziesięciolecia.

Inwestor prywatny finansuje pozostałe 70% inwestycji kapitałem własnym i prowadzi działalność komercyjną przez okres umowy. Prezentowany projekt osiąga stopę zwrotu 13% w horyzoncie 20 lat przy zwro-

cie kapitału po około 7 latach bez kredytu komercyjnego.

Pusty schron to wydatek

- Pusty schron jest wydatkiem. Schron z funkcją komercyjną jest inwestycją. W modelu ORLIK S-1 wygrywają wszyscy - gmina dostaje schron dla mieszkańców bez kosztów utrzymania, inwestor prywatny dostaje rentowny obiekt komercyjny, a budżet państwa płaci tylko tysiąc złotych za jedno miejsce schronienia. Na końcu tej układanki jest jednak najważniejszy wygrany - obywatel, który ma schron w odległości kilkuset metrów od domu i to w niedalekiej przyszłości, a nie za kilkadziesiąt lat - mówi Piotr Jarosz.

- Miasto Bydgoszcz w 2017 roku zakończyło budowę Szkoły Podstawowej nr 9 na ul. Bora-Komorowskiego. Całe jej podpiwniczenie zostało przystosowane do warunków odpornościowych przewidzianych kiedyś dla ukryć typu pierwszego. To miejsce na 250 osób. W tym czasie, z tego co wiem, w Polsce nie powstała żadna inna budowla ochronna - zauważa Robert Dobrosielski, zastępca dyrektora Wydziału Zarządzania Kryzysowego w Urzędzie Miasta. ©©

Banki mierzą się z nową falą spraw frankowych. Będzie lawina pozwów od przedsiębiorców?

Agnieszka Domka-Rybka
agnieszka.domka-rybka@polskapress.pl

Nie tylko konsumenci mają kłopot z kredytami frankowymi. Przedsiębiorcy również coraz częściej stykają się z tym tematem. Klauzule abuzywne występują w umowach zawartych m.in. przez osoby prowadzące JDG, ale też spółki. Szacuje się, że tego typu sprawy stanowią nawet ok. 10-15 proc. portfela wszystkich zobowiązań powiązanych z walutą obcą.

Problem kredytów denominowanych lub indeksowanych do waluty obcej dotyczy również przedsiębiorców, jednak w znacznie mniejszym stopniu niż konsumentów, co podkreśla w rozmowie z MondayNews dr Wanessa Choptiany-Mańka z Uniwersytetu WSB Merito. Ekspertka zaznacza, że większość takich zobowiązań była bowiem zaciągana w celu finansowania potrzeb mieszkaniowych. Nie oznacza to jednak, że przedsiębiorcy w ogóle nie korzystali z tego typu ofert.

Kredyty także na JDG i spółki

- Mówimy o właścicielach firm, którzy zaciągnęli zobowiązania finansowe związane z ich działalnością gospodarczą w latach 2004-2011. Im również proponowano tego rodzaju umowy, prezentując je jako bezpieczne i atrakcyjne rozwiązanie. Możliwe jest ich zakwestionowanie, ale na nieco innych podstawach niż w przypadku tych zawartych przez konsumentów. Najczęściej kredyty były zawierane przez osoby prowadzące jednoosobową działalność gospodarczą, jednak wśród tej grupy często trafiają się również spółki - ko-



Coraz więcej przedsiębiorców decyduje się na wystąpienie z roszczeniami przeciwko bankom w związku z kredytami waloryzowanymi do walut obcych.

mentuje adwokat Milena Mocarska z kancelarii MBM Legal.

Szacuje się, że kredyty przedsiębiorców stanowią około 10-15 proc. portfela wszystkich tego typu zobowiązań powiązanych z walutą obcą, o czym informuje dr hab. Dariusz Kowalski, prof. Uniwersytetu SWPS. Ekspert dodaje, że duża część tzw. umów frankowych zawierała klauzule abuzywne. Przedsiębiorcy mogą dochodzić swoich roszczeń, ale na tzw. zasadach ogólnych. Zatem muszą wykazać niezgodność np. z przepisami kodeksu cywilnego, co jest trudniejsze. Oni nie dysponują tak szerokim zakresem narzędzi prawnych jak konsumenci. Ci ostatni są w obrocie prawnym chronieni w sposób szczególny z uwagi na dysproporcję w pozycji kontraktowej.

Przekłada się ona np. na dostęp do informacji.

Konsumenci i przedsiębiorcy

- Kluczowa różnica polega na tym, że konsumenci objęci są silną, wyspecjalizowaną ochroną prawną, podczas gdy przedsiębiorcy są traktowani jako podmioty profesjonalne, świadome ryzyk związanych z zawieraniem umówami. W konsekwencji mają oni ograniczony dostęp do instrumentów ochronnych, co utrudnia im skuteczne kwestionowanie umów. Mimo to w praktyce coraz częściej podejmują próby ich podważania, odwołując się do ogólnych zasad prawa cywilnego - analizuje dr Choptiany-Mańka.

Z kolei mec. Mocarska zaznacza, że coraz więcej przed-

siębiorców decyduje się na wystąpienie z roszczeniami przeciwko bankom w związku z kredytami waloryzowanymi do walut obcych. Jak twierdzi ekspertka z MBM Legal, wiele spraw jest wciąż w toku, jednakże przeważnie zmierzają one w kierunku rozstrzygnięcia korzystnego dla kredytobiorcy. Świadczy o tym chociażby postawa sądów tuż po złożeniu pozwu. Wówczas często wydają postanowienia o zabezpieczeniu roszczeń poprzez zawieszenie obowiązku spłaty rat kredytu na czas trwania postępowania.

- Prawo nie jest zerojedynkowe i powstają pewne wątpliwości w sprawach na pograniczu, np. w sytuacji gdy przedsiębiorca będący osobą fizyczną zawiera umowę zawierając klauzule abuzywne, ale nie

w 100 proc. w ramach swojej profesjonalnej działalności. Sądy nie stosują tu automatyzmu. W sytuacjach takich zawsze każdy przypadek trzeba badać indywidualnie - wyjaśnia dr hab. Kowalski.

Natomiast ekspertka z WSB Merito zwraca uwagę na ostatnie głośne wyroki TSUE w zakresie tzw. spraw frankowych. Co do zasady te orzeczenia nie mają formalnie bezpośredniego zastosowania do przedsiębiorców, opierają się na przepisach prawnych chroniących wyłącznie konsumentów. Mają za to znaczenie pośrednie, wyznaczają ogólne standardy przejrzystości postanowień w umowach kredytowych oraz konieczności zachowania równowagi kontraktowej. Ponadto wyraźnie podkreślają zakaz stosowania mechanizmów pozwalających na jednostronne, dowolne kształtowanie świadczenia. Na takie standardy przedsiębiorcy mogą z powodzeniem powoływać się w swoich sprawach.

Będzie lawina pozwów?

- W pewnym sensie przełomowa dla przedsiębiorców z perspektywy czasu okazała się uchwała Sądu Najwyższego z 28 kwietnia 2022 roku w sprawie o sygn. III CZP 40/22. Przesądziła w niej nieważność umów kredytowych waloryzowanych do walut obcych. Ta uchwała pozwala na skuteczne podnoszenie w procesach sądowych, że nie tylko abuzywność postanowień umów kredytów frankowych zawartych przez konsumenta może być podstawą uznania takich umów za nieważne - stwierdza mec. Milena Mocarska.

Zdaniem dr Choptiany-Mańki, linia orzecznicza w sprawach przedsiębiorców

ewoluuje w kierunku jeszcze bardziej korzystnym dla tej grupy kredytobiorców. Sądy coraz częściej dopuszczają możliwość kwestionowania umów także poza reżimem ochrony konsumenckiej. Według ekspertki, szczególne znaczenie ma wyrok Sądu Najwyższego z 12 września 2025 roku (II CSKP 643/25). Potwierdzono w nim możliwość unieważnienia całej umowy kredytu frankowego zawartej przez przedsiębiorcę, a nie tylko konkretnych postanowień odnoszących się do waluty obcej, np. dowolności w ustalaniu kursu walut przez kredytodawców. Orzeczenie to potwierdziło trend, w którym przedsiębiorcy zyskują realne narzędzia do podważania ważności takich umów kredytowych.

- W mojej ocenie należy spodziewać się wzrostu liczby spraw, ponieważ kolejne korzystne wyroki motywują przedsiębiorców do podjęcia kroków prawnych. Będzie on zapewne stopniowy, ponieważ linia orzecznicza dopiero się kształtuje. Nowe korzystne orzeczenia sądów mogą powodować sukcesywny zwrot zainteresowania zainicjowaniem postępowań przez kolejnych przedsiębiorców - dodaje ekspertka z kancelarii MBM Legal.

Dr Wanessa Choptiany-Mańka również spodziewa się wzrostu liczby spraw z udziałem przedsiębiorców, którzy dopiero zaczynają aktywnie dochodzić swoich roszczeń. W opinii ekspertki z WSB Merito, jednym z kluczowych czynników jest ugruntowanie się korzystnej linii orzeczniczej, obejmującej już nie tylko konsumentów. To zachęca przedsiębiorców do występowania na drogę sądową oraz zwiększa ich świadomość prawną jako kredytobiorców. ©

Masz dowód osobisty wydany na stałe? Nadal jest ważny i nie musisz go wymieniać

Małgorzata Stempinska
malgorzata.stempinska@polskapress.pl

Choć dowody osobiste na czas nieoznaczony nie są już wydawane, to te, które są w posiadaniu Polaków i Polek, nadal zachowują ważność. Nie ma konieczności ich wymiany.

Skontaktował się z nami pan Janusz, prenumeratorka z Bydgoszczy.

- Przed laty osoby po 65. roku życia otrzymywały dowód osobisty już na czas nie-

oznaczony, czyli na stałe. To było bardzo wygodne. Mam już grubo ponad 65 wiosen, więc jestem w posiadaniu takiego dokumentu. Czytałem, że niestety będę go musiał wymienić. Kiedy będzie taka konieczność? Czy to prawda, że dokumenty bezterminowe nie są już wydawane? - dopytuje nasz Czytelnik.

W Departamencie Komunikacji Społecznej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji odpowiadają, że obowiązujące przepisy prawa nie nakładają obowiązku wymiany

dowodu osobistego, który został wydany na czas nieoznaczony.

- Zgodnie z przepisami, dowód osobisty jest ważny przez 10 lat od daty jego wydania. Nie są wydawane dowody osobiste na czas nieoznaczony - wyjaśniają w MSWiA.

Dowody osobiste na czas nieoznaczony były wydawane do marca 2015 roku. Obecnie dla osób które nie ukończyły 12. roku życia dowody osobiste ważne są przez okres 5 lat od daty wydania, a dla osób, które ukończyły 12. rok życia

dowody osobiste ważne są przez okres 10 lat od daty wydania. Odbiór dokumentu następuje nie później niż w terminie 30 dni od złożenia wniosku.

Dowód osobisty możemy wyrobić w dowolnym urzędzie, niezależnie od adresu zameldowania lub przez internet. W drugim przypadku niezbędne jest wcześniejsze wyrobienie profilu zaufanego lub posiadanie kwalifikowanego certyfikatu podpisu elektronicznego lub certyfikatu podpisu osobistego. Poza tym jeśli składamy wniosek przez inter-

net, musimy uzupełnić go o odciski palców i wzór podpisu. Dane te zostaną pobrane w urzędzie i umieszczone w dowodzie osobistym. Na wizytę w urzędzie mamy 30 dni od złożenia wniosku przez internet. Po tym terminie wniosek pozostanie bez rozpoznania. Za nowy dokument nic nie zapłacimy.

Warto sprawdzić, do kiedy ważny jest nasz dowód osobisty. Żadna instytucja nie przypomni nam o konieczności wymiany dokumentu. Jeśli zignorujemy ten obowiązek i bę-

dziemy korzystać z nieważnego dowodu osobistego, możemy zapłacić grzywnę w wysokości 5 tys. zł. ©



Dowody osobiste na czas nieoznaczony były wydawane do marca 2015 roku

Bydgoszcz

Moldawianie przyjeżdżali kraść sejfy. Wpadli w pułapkę bydgoskich policjantów

Marcin Kozłowski
marcin.kozlowski@polskapress.pl

Wiele lat więzienia grozi czterem obywatelom Mołdawii, którzy przyjeżdżali do Polski i włamywali się do sklepów dwóch znanych sieci handlowych. Zostali zatrzymani na gorącym uczynku przez kryminalnych z Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy.

Sprawa ma swój początek w listopadzie 2024 roku, kiedy odnotowano pierwsze włamywania. Do kolejnych dochodziło na terenie niemal całego kraju, dlatego nad sprawą pracowali funkcjonariusze z różnych województw.

Sprawca, bądź sprawcy za każdym razem włamywali się do sklepów od zaplecza - kradli sejfy z utargiem w wysokości przeważnie kilkudziesięciu tysięcy złotych i znikali. Ich przestępczy proceder przerwali w końcu kryminalni z Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy.

- Dociekliwa analiza poczynionych w trakcie czynności ustaleń pozwoliła policjantom wytypować, kto może stać za włamywaniami. Co więcej kryminalni ustalili, którego dnia zamierzają zrobić kolejny skok. Doskonałe rozpoznanie sprawy zakończyło się sukcesem. Czterej podejrzewani o włamywania Mołdawianie - w wieku od 33 do 36 lat - zostali zatrzymani na gorącym uczynku, gdy usiłowali dostać się do kolejnego sklepu - tym razem w Ozorkowie w woj-

wództwie łódzkim - informuje Kamila Ogonowska z Zespołu Prasowego Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy.

Obywatele Mołdawii zostali doprowadzeni do prokuratury we Włocławku, gdzie - na podstawie zgromadzonego przez kryminalnych materiału dowodowego - usłyszeli po dwa zarzuty usiłowania kradzieży z włamywaniem. Cała czwórka trafiła już na 3 miesiące do aresztu.

- Sprawa jest rozwojowa. Kryminalni nadal nad nią pracują i zbierają kolejne dowody. Już teraz są pewni, że lista zarzutów będzie o wiele dłuższa. Z dotychczasowych ustaleń wynika, że podejrzani mają na swoim koncie kilkadziesiąt przestępstw, a wstępne szacunki strat oscylują w granicach miliona złotych - dodaje Kamila Ogonowska.

Za kradzież z włamywaniem Kodeks karny przewiduje karę do 10 lat pozbawienia wolności. ©



Policja zatrzymała czterech Mołdawian

W weekend zmiany w komunikacji miejskiej. Tramwaje pojadą inaczej

Jarosław Więclawski
jaroslaw.wieclawski@polskapress.pl

Trwa modernizacja torowiska tramwajowego na ulicy Toruńskiej w Bydgoszczy. W związku z prowadzoną inwestycją w najbliższy weekend, 22-24 maja, wprowadzone będą zmiany w komunikacji miejskiej, dotyczące większości linii tramwajowych.

Modernizacja torowiska na ulicy Toruńskiej w Bydgoszczy podzielona jest na trzy etapy. Wykonawcą jest firma Trakcja. Koszt inwestycji to 131 milionów złotych. Roboty na pierwszym odcinku (od ronda Toruńskiego do ul. Spokojnej) realizowane były od listopada 2024 r. do kwietnia 2025 r. Drugi i trzeci etap realizowany jest na torach od Kazimierza Wielkiego do pętli Stomil.

- W związku z pracami modernizacyjnymi torowiska w rejonie zajezdni tramwajowej „Toruńska” na trzy dni zostanie wstrzymany ruch tramwajowy na odcinku pomiędzy węzłem Kazimierza Wielkiego a zajezdnią. Zmiany zaczną obowiązywać w piątek (22 maja) około godziny 20 i potrwać do niedzieli (24 maja) do około godziny 22 - informuje Zarząd Dróg Miejskich i Komunikacji Publicznej w Bydgoszczy.

- W tym czasie kursy wyjazdowe i zjazdowe poszczególnych linii tramwajowych reali-



Prace przy inwestycji mają zakończyć się na początku 2027 r.

zowane będą do pętli Wyścigowa lub do zajezdni tramwajowej „Łoskoń”, zgodnie z tymczasowym rozkładem jazdy opublikowanym na stronie internetowej. Zmiany dotyczą linii numer: 2, 3, 4, 5, 6, 8, 9, 10 i 11 - czytamy w krótkim komunikacie.

Finisz na kolejnym odcinku

Drugi etap - od Kazimierza Wielkiego do Równiej - ruszył w maju 2025 roku. Zakres zadania obejmuje:

- przebudowę torowiska tramwajowego łącznie z siecią trakcyjną, trzema wjazdami do zajezdni tramwajowej oraz układem drogowym;

- przebudowę peronów tramwajowych - będą dostosowane do potrzeb osób z niepełnościami;
- budowę drogi rowerowej oraz chodnika po południowej stronie ulicy na odcinku od wysokości al. Kaczyńskiego do ul. Równiej,
- remont części jezdni.

Jak informowaliśmy w marcu, drogowcy przesunęli zakończenie prac na tym odcinku do czerwca. Pod koniec 2025 r. ruszyły roboty na ostatnim odcinku - od Równiej do pętli Stomil. Cała inwestycja ma zapewnić szybszy i bezpieczniejszy przejazd w tym rejonie Bydgoszczy. Po zakończeniu wszystkich prac trasa do Łę-

gnowa będzie obsługiwana przez nowoczesny tabor niskopodłogowy.

Więcej zmian

- Prace ruszyły też na pętli Stomil. Znajdą się na niej dwa tory postojowe. Przystanki zlokalizowane będą na głównym ciągu torowiska w stronę Łęgnowa. Częścią inwestycji jest też nowy układ torowy przy wjeździe na teren pętli. Dzięki wbudowaniu nowych rozjazdów za budynkiem z nr 278 i budowie krótkiego odcinka torowiska tramwaje jadące od strony mostu Kazimierza mają możliwość zawracania bez konieczności wjazdu na teren zajezdni - przekazali pod koniec kwietnia drogowcy.

Ten element ma usprawnić funkcjonowanie transportu publicznego w przypadku wystąpienia zdarzeń losowych (np. wypadku) lub planowanych remontów. W ramach inwestycji w tej części Toruńskiej zaplanowano m.in. nowe perony tramwajowe wraz z przejściem przez jezdnię, chodniki i drogę rowerową po południowej stronie ulicy. Wszystkie roboty mają zakończyć się w przyszłym roku (wcześniej zakładano termin do końca 2026 r.)

Na realizację przebudowy torowiska miasto pozyskało dofinansowanie z Funduszy Europejskich dla Kujaw i Pomorza 2021-2027 w wysokości 34,3 mln zł oraz z KPO w wysokości 48,04 mln zł. ©

Bydgoski NFZ zaprasza na Dzień Matki i Dzień Dziecka

Marcin Kozłowski
marcin.kozlowski@polskapress.pl

Kujawsko-Pomorski Oddział Wojewódzki Narodowego Funduszu Zdrowia w Bydgoszczy zaprasza z okazji zbliżających się Dnia Matki i Dnia Dziecka na wydarzenie łączące profilaktykę zdrowotną z edukacją.

Impreza zaplanowana jest w poniedziałek, 25 maja w godz. 14.30-17.30 w siedzibie K-POW NFZ przy ul. Łomżyńskiej 33 w Bydgoszczy. W ramach wydarzenia będzie można m.in. wykonać bezpłatne badania wzroku, słuchu, ciśnienia tętniczego krwi, pomiaru poziomu glukozy we krwi, analizy składu masy ciała, przesiewowe testy w kierunku demencji i testy w kierunku HCV.

Prowadzone będą również bezpłatne konsultacje dermato-



Bydgoski NFZ zaprasza na prozdrowotną akcję już w najbliższy poniedziałek, 25 maja, w godz. 14.30-17.30

logiczne, psychologiczne, fizjoterapeutyczne, pediatryczne, logopedyczne, prawne, w zakresie wczesnego wspomagania dziecka, położnej środowiskowo-rodzinnej, w zakresie szczepień ochronnych i chorób zakaźnych, na temat centralnej e-rejestracji (szybki dostęp do świadczeń medycznych), na temat programu „Moje Zdrowie”, z doradcą do spraw profi-

laktyki i promocji zdrowi oraz na temat portalu Diety NFZ.

Podczas wydarzenia nie zabraknie warsztatów resuscytacji krążeniowo-oddechowej, ćwiczeń pierwszej pomocy przy zadławieniach, nauki samobadania piersi na fantomach i pokazowej karetki. Swoje stoisko będzie też miała Czysta Bydgoszcz, gdzie w strefie edukacyjnej goście imprezy

będą mogli wziąć udział w ekologicznych quizach i aktywnościach z nagrodami. Dla najmłodszych przygotowane zostaną edukacyjne zabawy i zadania, które poprzez wspólną aktywność będą promować postawy proekologiczne.

- Z okazji zbliżającego się Dnia Matki wszystkim mamom składam najserdeczniejsze życzenia zdrowia i codziennej radości. Z kolei dzieciom z okazji ich święta życzę uśmiechu, spełnienia marzeń, ciekawości świata. Z okazji Dnia Matki i Dnia Dziecka przygotowaliśmy wydarzenie profilaktyczne. Zapraszamy wszystkie całe rodziny do wspólnego świętowania oraz rozmów o zdrowiu, które jest najcenniejszym prezentem dla naszych bliskich - zachęca do uczestnictwa w imprezie dr Agnieszka Bańkowska, dyrektor Kujawsko-Pomorskiego Oddziału Wojewódzkiego NFZ w Bydgoszczy. ©

REKLAMA 0011527487

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O PRZETARGU

Burmistrz Miasta Poręba informuje, że na stronach internetowych bip.umporęba.pl oraz www.umporęba.pl, a także na tablicy ogłoszeń Urzędu Miasta Poręba, ul. Dworcowa 1, 42-480 Poręba, w terminie od dnia 22.05.2026 r. zostanie zamieszczone na okres min. 2 miesięcy ogłoszenie o przetargu ustnym nieograniczonym na sprzedaż nieruchomości stanowiących własność Gminy Poręba, położonych w Porębie. Przetarg odbędzie się w siedzibie Miejskiego Ośrodka Kultury w Porębie, ul. Mickiewicza 2, 42-480 Poręba.

Oznaczenie nieruchomości, numer działki	Powierzchnia nieruchomości [ha]	Nr księgi wieczystej	Cena wywoławcza brutto w zł	Wysokość wadium w zł	Przeznaczenie nieruchomości w MPZP	Data i godzina przetargu
9950/14 Obręb Poręba	0,9900	CZ1Z/00032475/5	600 000,00	60 000,00	W MPZP nieruchomości oznaczona symbolem: 12U - teren usług	5.08.2026 r. godz. 10:00 MOK Poręba Sala konferencyjna

Wadium płatne do 29.07.2026 r. Dodatkowe informacje uzyskać można w Urzędzie Miasta Poręba, ul. Dworcowa 1, w Referacie Nieruchomości i Gospodarki Komunalnej, pokój nr 5 - pod numerem telefonu 32 67 71 203.

Ustalenia drogowców potwierdziła ekspertyza. Kładka nad Wiślaną jest bezpieczna, ale do naprawy

Jarosław Więclawski
jaroslaw.wieclawski@polskapress.pl

Zakończono ekspertyzę stanu technicznego kładki nad ul. Fordońską przy ul. Wiślanej w Bydgoszczy. Na początku lutego doszło tam do niebezpiecznego zdarzenia drogowego.

Kierujący samochodem ciężarowym uderzył chwytakiem w kładkę w pobliżu ul. Wiślanej. Pojazd poruszał się w kierunku Fordonu. Krótki filmik przedstawiający zdarzenia z 5 lutego zamieszczono na profilu „Stop Cham”. Na nagraniu widać, że kładka po uderzeniu mocno się zatrzęsała, ale ciężarówka przejechała. Kierowca nie zatrzymał się po uderzeniu, lecz kontynuował jazdę.

W wyniku zdarzenia nikomu nic się nie stało. Policjanci początkowo szukali świadków, ale później poinformowali, że kierujący sam się do nich zgłosił. Mężczyzna dobrowolnie poddał się karze i został ukarany mandatem w wysokości 1500 zł za spowodowanie zagrożenia bezpieczeństwa w ruchu drogowym i 10 punktami karnymi.

Drogowcy od razu informowali, że po otrzymaniu zgłoszenia, jeszcze tego samego dnia, wykonali na miejscu oględziny. Po uderzeniu odesktałeniu uległ element stalowy oraz uszkodzono powłokę malarską, lecz z kładki można było bezpiecznie korzystać.

- Prace nad ekspertyzą stanu technicznego kładki nad ul. For-

dońską w rejonie ulic Wiślanej i Jasinieckiej zakończyły się. Ekspertyza potwierdziła ocenę naszych inspektorów dotyczącą bezpieczeństwa jej użytkowania. Obecnie z kładki można bezpiecznie korzystać - przekazuje Katarzyna Muszyńska, rzeczniczka prasowa Zarządu Dróg Miejskich i Komunikacji Publicznej w Bydgoszczy.

- W wynikach ekspertyzy potwierdzono też powstanie uszkodzeń, z których najpoważniejsze dotyczy bloków oporowych utrzymujących łóżyska konstrukcji przeseł na podporze środkowej (w pasie rozdziału ulicy Fordońskiej). Widoczne deformacje elementów stalowych konstrukcji (pas dolny, żebra, poprzecznice), jak wykazały szczegółowe obliczenia, nie mają wpływu na nośność i parametry dalszego funkcjonalne obiektu. Wykonano również szczegółowe badania spoin, które nie wykazały istotnych uszkodzeń - informuje rzeczniczka.

Kładka powstała w 2002 roku. Ma ponad 100 metrów długości. Stan techniczny pozwala na jej użytkowanie, ale to nie oznacza, że nie ma konieczności wykonania prac remontowych.

- Po opracowaniu kosztorysu robót, przystąpimy do przygotowania naprawy wszystkich uszkodzeń powstałych w wyniku kolizji pojazdu z kładką. Będziemy starali się, aby prace te zostały przeprowadzone bez konieczności całkowitego zamykania kładki - zapewnia Katarzyna Muszyńska. ©

Na plac zabaw można było wejść za kilka złotych. Dzisiaj za kilkadziesiąt

Maciej Czerniak
maciej.czerniak@polskapress.pl

„Zaczarowany Las” w Myśliczynie już po inauguracji. Nowy operator wesołego miasteczka oferuje wiele atrakcji, ale za dostęp do tamtejszego placu zabaw trzeba już płacić o wiele więcej. - Naprawdę ktoś uznał, że to normalne? - pytają Bydgoszczanie.

Burza rozpętała się nie tyle wokół cen biletów do odświeżonego lunaparku w Leśnym Parku Kultury i Wypoczynku, ile wokół tego, ile trzeba zapłacić na tamtejszy plac zabaw, który do tej pory był dostępny za symboliczną opłatą.

- Rodzice małego dziecka teraz muszą zapłacić razem 150-170 zł tylko po to, żeby wejść z maluchem na plac zabaw, a jeśli dziecko ma powyżej 90 cm wzrostu - czyli większość dzieci powyżej drugiego roku życia - dochodzi kolejne 65-75 zł za dziecko - to jeden z komentarzy, który pojawił się na FB w grupie „Bydgoszczanie”. - W praktyce zwykle wyjście rodziny z małym dzieckiem na plac zabaw w miejskim parku kosztuje 245 zł, mimo że rodzice i maluch nie są w stanie skorzystać z większości atrakcji lunaparku.

- Naprawdę ktoś uznał, że to normalne? Czy jeden z rodziców ma zostać za płotem, żeby



Plac zabaw jest włączony do „Zaczarowanego Lasu”, więc wejście osobno za niższą cenę jest niemożliwe

było taniej? - dopytuje autorka postu.

Zapisy w umowie dzierżawy

„Zaczarowany Las” przy ulicy Rekreacyjnej w Bydgoszczy rozpoczął działalność w ubiegły weekend. Terenem od stycznia administruje firma Krasnal Europark, która została wyłoniona w konkursie ogłoszonym przez władze Leśnego Parku Kultury i Wypoczynku. Do tej pory Park Rozrywki był zarządzany bezpośrednio przez władze parku w Myśliczynie. Cena wejścia na jego teren zaczynała się od 6 zł.

Różnica jest taka, że wcześniej bilet kupiony przy wejściu do lunaparku uprawniał do korzystania z tamtejszego placu zabaw. Dzieci mogły się bawić, między innymi na kon-

strukcji przypominającej zamek, bujać się huśtawkach i ćwiczyć utrzymywanie równowagi na linowym „pajaku”. Za pozostałe atrakcje, takie jak np. autodrom trzeba było zapłacić osobno.

Jak tłumaczy obecny zarządca, umowa dzierżawy terenu lunaparku została skonstruowana tak, że administruje on teraz całym dawnym Parkiem Rozrywki.

- Rozumiem, że niektórym może się nie podobać, że nie są zadowoleni - mówi Sylwia Zielińska z działu promocji „Zaczarowanego Lasu”. - Pamiętajmy jednak, że w zamian, w cenie jednego wejścia odwiedzający nas mogą bez limitu korzystać z wszelkich innych atrakcji. Nie ma limitu przejazdów na karuzelach, na jeźdźdźalni, na autodromie.

Będzie nowy plac - dla dzieci i dla osób starszych

Jak słyszymy, obecny zarządca nie widzi możliwości wydzielenia placu zabaw z terenu „Zaczarowanego Lasu”: - Musielibyśmy ten teren ogrodzić, w innym wypadku jest niemożliwe, by pilnować dostępu do pozostałych atrakcji.

Andrzej Kowalski, dyrektor generalny LPKiW nie komentuje planów prywatnego zarządcy, ale zwraca uwagę: - Na terenie leśnego parku są również inne place zabaw. Jeden z nich, o dużej powierzchni integracyjny znajduje się w pobliżu ogrodu zoologicznego, a drugi mały przy ulicy Konnej.

Dyrektor zapowiada też utworzenie kolejnego. Tym razem chodzi o miejsce usytuowane bliżej pętli tramwajowej.

- Dawniej ten skwerek nazywał się „Zakątkiem seniora”. Znajdują się tam obecnie wyłącznie ławeczki, ale powstanie „Zakątek wielopokoleniowy” - mówi dyrektor Kowalski. - Chcemy zrealizować to przedsięwzięcie w przyszłym roku, może na przełomie 2027 i 2028 roku. Znajdą się tam urządzenia do ćwiczeń na świeżym powietrzu, ale powstanie też plac zabaw dla dzieci. To miejsce będzie oczywiście ogólnodostępne.

Jak się dowiadujemy, w budowie nowego placu zabaw ma uczestniczyć również obecny zarządca „Zaczarowanego Lasu”. ©

Dzień Strażaka w „podoficerce”

Paweł Kaniak
pawel.kaniak@polskapress.pl

Uroczystości z okazji obchodów Dnia Strażaka zorganizowano 21 maja w Szkole Podoficerskiej Państwowej Straży Pożarnej przy ul. Glinki w Bydgoszczy.

Dzień strażaka obchodzony jest w maju i związany ze świętem patrona strażaków i osób wykonujących zawody związane z ogniem świętego Floriana - które przypada 4 maja.

Dzień Strażaka w Polsce został ustanowiony w 2002 roku przez Sejm RP przy nowelizacji ustawy o Państwowej Straży Pożarnej jako wyraz szacunku dla trudnej i wymagającej poświęcenia pracy straży pożarnej.

Straż pożarna w Bydgoszczy powołana została w 1872 roku. Pierwszą siedzibą był kościół Klarysek. W grudniu 1911 roku

oddano do użytku nową remizę przy Renkauer Strasse (obecnie ul. Pomorska). Na ówczesnym wyposażeniu straży pożarnej znajdowały się: wozy rekwizytowe, hydropulty, beczki do wody, tuby alarmowe, bosaki, kotwice, łomy, oskardy, linki, pasy, tłumice, wiadra, latarnie i pochodnie.

Na początku XX wieku miasto dysponowało 136 hydrantami podziemnymi i 255 nad-

ziemnymi. Zasilane one były z 20 studni głębinowych. Po powrocie Bydgoszczy do Polski w 1920 r. w mieście było 52 strażaków.

Obecnie na terenie miasta działają 4 Jednostki Ratowniczo-Gaśnicze oraz Jednostka Ratowniczo-Gaśnicza Szkoły Podoficerskiej, Komendantowi Głównemu Państwowej Straży Pożarnej. ©



Dzień Strażaka zorganizowano w Szkole Podoficerskiej Państwowej Straży Pożarnej w Bydgoszczy

Wsparcie w powrocie do pracy

Justyna Wojciechowska-Narloch
justyna.wojciechowska-narloch@polskapress.pl

Tysiąc złotych na dowolny cel otrzymać mogą kobiety, które wracają do pracy po urlopie macierzyńskim. Wystarczy, że napiszą, jak w przyszłości wykorzystają te pieniądze.

Akcję organizuje Fundacja Polka XXI wieku we współpracy z firmą Master Management Poland, a inicjatywa ta jest odpowiedzią na potrzeby i oczekiwania kobiet w kontekście dynamicznych zmian na rynku pracy.

Lęk przed powrotem po urodzeniu dziecka

Jak pokazują wyniki najnowszych badań aż 95 procent kobiet obawia się powrotu do pracy po urlopie macierzyńskim, a ponad 53 procent z nich uważa, że utraciło

dotychczasowe umiejętności zawodowe.

Według danych między innymi raportów Bosch i Fundacji Mamo Pracuj, znaczna część kobiet po przerwie związanej z macierzyństwem doświadcza obniżonej pewności siebie, dezaktualizacji kompetencji lub barier systemowych utrudniających powrót do pracy. Program „Powrót z Mocą” został zaprojektowany tak, aby przeciwdziałać tym zjawiskom i realnie zwiększać szanse uczestniczek na satysfakcjonujący rozwój zawodowy.

- Powrót na rynek pracy po urlopie macierzyńskim to moment pełen wyzwań, ale też ogromnego potencjału. Chcemy pokazać kobietom, że ich doświadczenie, zarówno zawodowe, jak i życiowe, jest wartością, którą można przekuć w sukces -

podkreśla Ilona Peszko-Biskupska, wiceprezes Fundacji Polka XXI wieku.

To nie jest tylko projekt edukacyjny

„Powrót z Mocą” to nie tylko projekt edukacyjny, ale przede wszystkim przestrzeń do budowania pewności siebie, wymiany doświadczeń i tworzenia trwałych relacji wspierających rozwój osobisty i zawodowy. Naszym celem jest realna zmiana. Chcemy, aby uczestniczki programu wychodziły z niego z konkretnymi kompetencjami, planem działania i poczuciem siły do wprowadzania zmian w swoim życiu.

Na zgłoszenia konkursowe organizatorzy czekają do 19 maja 2026 roku, a ogłoszenie wyników nastąpi 26 maja - w Dzień Matki. Szczegółowe informacje są na stronie organizatora: www.polka21.pl ©

Kultura w zasięgu ręki. Projekt warty 20 mln zł

Opr. Marcin Kozłowski
marcin.kozlowski@polskapress.pl

„Kultura w zasięgu 3.0” to projekt, którego najważniejszym celem jest kompleksowa modernizacja oferty kulturalnej w regionie. Jednym z 66 jego partnerów jest PBS.

Wartość przedsięwzięcia wynosi 19 249 975,97 zł, z czego 16 362 479,26 zł pochodzi ze środków Unii Europejskiej z Programu Regionalnego Fundusze Europejskie dla Kujaw i Pomorza na lata 2021-2027. Projekt realizowany przez Województwo Kujawsko-Pomorskie we współpracy z 66 partnerami (samorządowymi instytucjami kultury i uczelniami) jest kolejnym krokiem w kierunku nowoczesnego, cyfrowego rozwoju sektora kultury i dziedzictwa regionalnego w regionie.

Głównym celem zadania jest bowiem właśnie kompleksowa modernizacja oferty kulturalnej w województwie kujawsko-pomorskim. W ramach inicjatywy wdrożone zostaną innowacyjne rozwiązania, które nie tylko zwiększą dostępność zasobów online, ale także wzmocnią

atrakcyjność i konkurencyjność regionu.

„W praktyce oznacza to m.in. doposażenie instytucji w nowoczesny sprzęt do digitalizacji oraz technologie multimedialne - takie jak ściany wizyjne, hologramy czy narzędzia oparte na rozszerzonej rzeczywistości. Równolegle rozwijane będą cyfrowe kanały komunikacji, w tym profesjonalne zaplecze do transmisji online oraz systemy usprawniające obsługę użytkowników - na przykład technologia RFID umożliwiająca bezkontaktowe wypożyczanie zbiorów. Całość zostanie oparta na rozbudowanej i bezpiecznej infrastrukturze teleinformatycznej” - informuje Politechnika Bydgoska.

Uczelnia zapewnia, że projekt został przygotowany z myślą o szerokim gronie odbiorców, dla których cyfryzacja oznacza łatwiejszy i równy dostęp do kultury - niezależnie od miejsca zamieszkania czy sytuacji społecznej. Nowoczesne narzędzia, takie jak aplikacje mobilne czy interaktywne przewodniki, staną się również istotnym wsparciem dla turystów odwiedzających Kujawy i Pomorze. ©©

VIII LO zaprasza uczniów do udziału w konkursie literackim „Zauważeni”

Małgorzata Pieczyńska
malgorzata.pieczynska@polskapress.pl

Rozpoczęła się druga edycja konkursu literackiego „Zauważeni” dla uczniów szkół ponadpodstawowych, którego organizatorem jest VIII LO im. dra Emila Warmińskiego w Bydgoszczy. Warto w nim wziąć udział, bo na laureatów i wyróżnionych czekają atrakcyjne nagrody, w tym publikacja w profesjonalnej antologii.

Konkurs „Zauważeni” odbywa się pod patronatem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Oddział w Bydgoszczy. Inicjatywa realizowana jest w ramach Bydgoskich Grantów Oświatowych. Ma na celu wyłonienie talentów poetyckich wśród młodych Bydgoszczan - uczniów szkół ponadpodstawowych - oraz zachęcenie ich do współpracy ze starszymi pokoleniami literatów, co sprzyja twórczej integracji lokalnej.

Pierwsza edycja konkursu w 2025 r. zakończyła się sukcesem. Cieszyła się dużym zain-



Tak było przed rokiem podczas wręczenia nagród w I edycji konkursu dla młodzieży „Zauważeni”

teresowaniem uczestników, więc zapraszamy do udziału w kolejnej odsłonie wydarzenia - mówi Joanna Gładkowska-Rosińska, nauczycielka języka polskiego w VIII LO w Bydgoszczy. - Początkującym adeptom pióra gwarantujemy profesjonalną ocenę ze strony doświadczonych pisarzy, natomiast twórcom i krytykom zapewniemy wgląd w środowisko młodych autorów.

Jak zgłosić się do konkursu?

By wziąć udział w konkursie, uczestnik powinien wybrać trzy autorskie utwory, które

wcześniej nigdzie nie były publikowane i nagradzane w konkursach. Forma i tematyka są dowolne. Preferowane motywy to, m.in., przyjaźń, spełnienie, strach, osamotnienie, odrzucenie, oswojenie, miłość, media społecznościowe, zachwyt, młodość, relacja „jajinni”, ucieczka, Bydgoszcz oraz moje miejsce na ziemi.

Kartę zgłoszeniową wraz z podpisanym oświadczeniem RODO i własnymi utworami należy przesłać mailowo pod adresem joanna.gladkowska@viiiilo.pl lub pocztą tradycyjną: VIII Liceum Ogólnokształcące w Bydgoszczy, ul.

Swarzevska 10, 85-731 Bydgoszcz. Prace należy przesłać do 11 września br.

Publikacja w profesjonalnej antologii

- Nagrodą będzie publikacja w profesjonalnej antologii, którą każdy z wyróżnionych uczestników otrzyma na własność - informuje Joanna Gładkowska-Rosińska. - Dodatkowo przewidziano atrakcyjne gadzety biurowe. Najlepsi uczestnicy otrzymają również opinię doświadczonych twórców ze Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Oddziału w Bydgoszczy oraz zaproszenie do udziału w warsztatach literackich i spotkaniach promujących książki.

Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi 14 września br. Wręczenie nagród powtórnie zainauguruje Bydgoski Trójkąt Literacki - festiwal z długą tradycją w naszym mieście.

Szczegółowy regulamin i karta zgłoszenia dostępne są na stronie: <https://8lo.edu.bydgoszcz.pl/@@>

REKLAMA

0011523056



SOLANKI

Uzdrowisko Inowrocław

Latem zadbaj o zdrowie



Zakwaterowanie



**3 posiłki dziennie
w formie bufetu szwedzkiego**



Konsultacja lekarska



**2 zabiegi dziennie
(oprócz niedziel i dni świątecznych)**



**90 min. dziennie w Strefie Relaksu
(sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)**



Voucher do Integracja Cafe



52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320



medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl



www.solanki.pl



Francuz ze Świecia skazany za posiadanie narkotyków

Maciej Czerniak
maciej.czerniak@polskapress.pl

Cristian C. został oskarżony o posiadanie znacznych ilości narkotyków, w tym marihuany i grzybów halucynogennych. W sądzie w Świeciu zapadł wyrok wobec niego.

Śledztwo w sprawie Cristiana C. było prowadzone przez Prokuraturę Rejonową w Świeciu. Na początku stycznia ubiegłego roku wszczęła ona śledztwo w sprawie ujawnienia u C., obywatela Francji, znacznej ilości narkotyków.

Miał w domu marihuanę i grzyby halucynogenne

Mężczyzna posiadał środki odurzające i substancje psychotropowe w postaci: kokainy, żywicy konopi, ziela konopi innych niż włókniste, a także grzybów halucynogennych - mówi prokurator Agnieszka Adamska-Okońska, rzeczniczka prasowa Prokuratury Okręgowej w Bydgoszczy.

Postępowanie w tej sprawie zakończyło się skierowaniem aktu oskarżenia do Sądu Rejonowego w Świeciu. Wła-

śnie zapadł wyrok na mocy którego Cristian C. został uznany za winnego popełnienia przestępstwa i skazany na karę pozbawienia wolności na okres 1 roku w zawieszeniu na 2 lata.

Jednocześnie, zobowiązano oskarżonego do powstrzymania się od nadużywania alkoholu oraz używania innych środków odurzających w okresie próby.

Wyjechał już z Polski

„Z tytułu popełnionego czynu zabronionego na mężczyznę nałożono również karę grzywny w wysokości 300 stawek dziennych w kwocie 20 zł każda oraz obowiązek świadczenia pieniężnego na rzecz Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym i Pomocy Postpenitencjarnej w kwocie 3.000 zł” - informuje prokuratura.

Oskarżony to obywatel Francji, który po ogłoszeniu orzeczenia opuścił już terytorium Rzeczypospolitej Polskiej. Wyrok nie jest prawomocny, skazanemu przysługuje możliwość złożenia apelacji od niego do Sądu Okręgowego w Bydgoszczy. ©

Szpital w Aleksandrowie Kuj. chce umorzenia kary. Jest wniosek do NFZ

Marcin Kozłowski
marcin.kozlowski@polskapress.pl

Dyrekcja Szpitala Powiatowego w Aleksandrowie Kujawskim chce umorzenia, znacznego umorzenia lub rozłożenie na raty kary nałożonej przez Narodowy Fundusz Zdrowia. To pokłosie afery z Tomaszem Lenziem w roli głównej.

Przypomnijmy fakty. Jak poinformowała Wirtualna Polska 15 marca 2026 roku aleksandrowską placówkę odwiedził Tomasz Lenz, wówczas senator Koalicji Obywatelskiej. Z relacji świadków wynikało, że wizyta polityka i jego krewnego w szpitalu od początku odbiegała od standardowych procedur. Zamiast udać się na izbę przyjęć, gdzie rozpoczyna się proces diagnostyki i kwalifikacji do leczenia, mieli wejść do lecznicy głównym wejściem i skierować się bezpośrednio na oddział chirurgii. Tam czekał już ordynator, a pacjent miał trafić prosto do pokoju zabiegowego, z pominięciem kolejki i wyma-



Szpital w Aleksandrowie Kujawskim chce umorzenia kary nałożonej przez NFZ

ganych formalności. Później na oddziale pojawili się anestezjolog i pielęgniarka anestezyjologiczna. Wszyscy powinni jednak w tym czasie pełnić dyżury na swoich oddziałach - m.in. na oddziale intensywnej terapii.

Po doniesieniach portalu Kujawsko-Pomorski oddział Narodowego Funduszu Zdrowia w Bydgoszczy wszczął kontrolę w Szpitalu Powiatowym

w Aleksandrowie Kujawskim. Wykazała, że placówka „nie zapewniła należytej, całodobowej opieki lekarskiej w Oddziale Chirurgii Ogólnej i Onkologicznej oraz w Oddziale Anestezjologii i Intensywnej Terapii w dniu 15 marca”. W związku z tym NFZ nałożył na szpital 134 tysiące złotych kary finansowej.

Jak informuje Radio PiK kierownictwo lecznicy złożyło

w tej sprawie wniosek do samego prezesa NFZ.

Po przeanalizowaniu sytuacji nie znaleźliśmy twardej postawy odwoławczych. W związku z tym skorzystaliśmy z przepisu mówiącego o tym, że szpital może skorzystać z ulgi. Złożyliśmy wniosek do prezesa Narodowego Funduszu Zdrowia o umorzenie, znaczne umorzenie lub ewentualnie rozłożenie kary na raty. Umotywowane to jest bardzo trudną sytuacją finansową, w jakiej w tej chwili znajduje się szpital - powiedział rozgłośni Mariusz Trojanowski, dyrektor szpitala w Aleksandrowie Kujawskim.

W placówce trwa postępowanie wyjaśniające sprawę. Wyniki mają być znane w pierwszych dniach czerwca, ale termin ten był już kilka razy przesuwany.

Przypomnijmy też, że 11 maja decyzją prezydium Koalicji Obywatelskiej senator Tomasz Lenz został wykluczony z partii i jej klubu parlamentarnego. Wnioskował o to sam premier Donald Tusk. ©

W Centrum Szkolenia WOT trwa praktyczne szkolenie przyszłych oficerów

Opr. Wojciech Mąka
wojciech.maka@polskapress.pl

W Centrum Szkolenia Wojsk Obrony Terytorialnej trwa intensywny etap praktycznego szkolenia przyszłych oficerów WOT. Kilku dziesięciu żołnierzy doskonalili swoje umiejętności dowódcze.

Szkolenie w CSWOT rozpoczęło się w kwietniu i potrwa do początku czerwca. To właśnie tutaj uczestnicy kursu AGRYKOLA przechodzą najbardziej wymagający etap szkolenia - w sposób praktyczny ćwiczą dowodzenie pododdziałem, planowanie działań taktycznych, kierowanie ogniem oraz działanie w warunkach zbliżonych do realnych sytuacji współczesnego pola walki. Zajęcia realizowane są w trybie weekendowym, a instruktorzy stawiają na praktyczne sprawdzanie wiedzy oraz umiejętności działania pod presją czasu.

- To szkolenie pokazuje, że dowodzenie nie opiera się wyłącznie na teorii. Tutaj każda decyzja ma konsekwencje, a każdy błąd jest lekcją. Instruktorzy nie dają gotowych rozwiązań - zmuszają nas do myślenia, działania i brania odpowiedzialności

za swoich ludzi oraz wykonanie zadania. Właśnie dzięki temu to szkolenie jest tak wartościowe. Wyjeżdżamy stąd bogatsi nie tylko o wiedzę, ale przede wszystkim o doświadczenie, którego nie da się zdobyć z podręczników - podkreśla żołnierz 18 Stołecznej Brygady Obrony Terytorialnej.

AGRYKOLA to 13-miesięczny kurs oficerski skierowany do żołnierzy pełniących terytorialną służbę wojskową. Program realizowany jest w trybie



Szkolenie potrwa do początku czerwca

stacjonarno-rotacyjnym - obejmuje szkolenie stacjonarne, zajęcia weekendowe oraz końcowy etap praktyczny. Głównym celem kursu jest wyłonienie naturalnych liderów - żołnierzy posiadających predyspozycje dowódcze, odporność psychiczną oraz kompetencje niezbędne do skutecznego kierowania pododdziałami Wojsk Obrony Terytorialnej.

Program szkolenia podzielony został na część teoretyczną oraz praktyczną. Część teoretyczna realizowana jest na uczelniach wojskowych, natomiast szkolenie praktyczne w Centrum Szkolenia WOT pozwala kandydatom sprawdzić wiedzę w realistycznych scenariuszach i wymagających warunkach terenowych.

Kurs AGRYKOLA stanowi jeden z kluczowych elementów systemu rozwoju kadry dowódczej Wojsk Obrony Terytorialnej i przygotowuje przyszłych oficerów do skutecznego działania w warunkach współczesnego pola walki. Po zakończeniu szkolenia praktycznego żołnierzy czeka ostatni etap egzaminów realizowany w Akademii Wojsk Lądowych, który zdecyduje o uzyskaniu pierwszego stopnia oficerskiego. PAP

Zbiór pamiątek po płk. Complaku już w bydgoskim Muzeum Wojsk Lądowych

Wojciech Mąka
wojciech.maka@polskapress.pl

W siedzibie głównej Muzeum Wojsk Lądowych w Bydgoszczy przy ul. Czerkaskiej 2 nastąpiło uroczyste przekazanie kolekcji pamiątek po pułkowniku Karolu Józefie Complaku (1899-1967).

Zbiór obejmuje, m.in. odznaczenia, w tym przede wszystkim: Krzyż Srebrny Orderu Wojennego Wirtuti Militari, francuski Krzyż Wojenny ze Złotą Gwiazdą czy brytyjski Order Wybitnej Służby, a także pamiątki okolicznościowe otrzymane od żołnierzy oraz ludności miast wyzwanych przez 1. Dywizję Pancerną.

Pułkownik Complak służył wojskową rozpoczął w czasie I wojny światowej walcząc w szeregach 3. pułku piechoty II Brygady Legionów Polskich, m.in. pod Kostiuchnowką. W lutym 1918 roku przeniesiony do austro-węgierskiego 32. pułku piechoty, w szeregach którego walczył na froncie włoskim do zakończenia I wojny światowej.

W listopadzie 1918 wstąpił do tworzącego się Wojska Pol-

skiego, biorąc udział w walkach o Przemysł czy w odsieczy Lwowa. W kwietniu 1919 roku przeniesiony do odtwarzanego 3. pułku piechoty Legionów i to w jego szeregach walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. 20 maja awansowany na stopień podporucznika.

W dwudziestolecie międzywojennym pełnił funkcje dowódcy poszczególnych pododdziałów w 3. pułku piechoty Legionów, a następnie 38. pułku piechoty oraz szereg funkcji sztabowych. 1 września 1939 roku major Complak otrzymał przydział do Naczelnego Dowództwa, a 18 września przekroczył granicę polsko-rumuńską.

Z Rumunii przedostał się do Francji, a stamtąd w czasie kampanii francuskiej do Wielkiej Brytanii, gdzie otrzymał przydział do 4. Brygady Kadrowej Strzelców przemianowanej na 1. Samodzielną Brygadę Spadochronową. 1 grudnia 1943 roku przeniesiony do 1. Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka, 1 sierpnia 1944 roku, już jako podpułkownik (awans otrzymał 1 marca tego samego roku) objął stanowisko dowódcy Batalionu Strzelców Podhalańskich, na czele któ-



Przekazanie pamiątek po pułkowniku do MWL. Przekazuje Tomasz Complak

rego walczył na terenach Francji, Belgii, Holandii oraz Niemiec.

Po wojnie ze swoją jednostką pełnił służbę okupacyjną w rejonie Papenburga do 1947 roku. W latach 1948-1949 służył w Polskim Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia. Po zakończeniu służby wojskowej pozostał w Wielkiej Brytanii pracując najpierw na farmie, a następnie jako operator wiertarki w fabryce. Na emeryturę przeszedł 1964 roku.

Prochy pułkownika Complaka zostały sprowadzone do Polski przez jego rodzinę i pochowane w Gdyni w 1968 roku. ©

W Nowej Wsi Wielkiej otwarto masowy „front kolejowy”

Wojciech Mąka

wojciech.maka@polskapress.pl

Nowa strategiczna inwestycja PERN w regionie. W Nowej Wsi Wielkiej otwarto „masowy front kolejowy”.

Wzmocnienie bezpieczeństwa energetycznego kraju, zwiększenie odporności infrastruktury logistycznej oraz rozwój gospodarczy województwa kujawsko-pomorskiego – to główne efekty nowo otwartej inwestycji PERN S.A. na terenie Bazy Paliw w Nowej Wsi Wielkiej pod Bydgoszczą.

W oficjalnym uruchomieniu inwestycji uczestniczył minister energii Miłosz Motyka, wojewoda kujawsko-pomorski Michał Szytybel, wicemarszałek województwa Dariusz Kurzawa oraz przedstawiciele PERN – prezes zarządu Daniel Świętochowski, wiceprezes Marcin Giemza i kierownik działu Nowa Wieś Wielka Radosław Głowski.

Wiele cystern do przeładunku

Inwestycja umożliwia jednoczesny przeładunek do 36 wagonów-cystern i dwukrotnie zwiększa zdolności bazy w za-



Stacja kolejowa paliw w Nowej Wsi Wielkiej

kresie transportu kolejowego. Obecnie baza pod Bydgoszczą jest jednym z największych i najnowocześniejszych węzłów logistycznych paliw w kraju.

Nowa inwestycja PERN stanowi kluczowy element rozbudowy krajowego „kręgosłupa paliwowego”.

Dzięki realizacji tego projektu, Baza Paliw w Nowej Wsi Wielkiej awansowała do roli centralnego hubu dystrybucyjnego, zdolnego do obsługi ogromnych wolumenów paliw i elastycznego reagowania na potrzeby rynku hurtowego oraz detalicznego. Ma się łączyć z ropociągami układu NATO.

- Masowy front kolejowy w Nowej Wsi Wielkiej to inwestycja o strategicznym znaczeniu dla polskiego bezpieczeństwa paliwowego, a tym samym – bezpieczeństwa polskich rodzin i polskiej gospodarki. Światowy kryzys cen paliw pokazał nam, jak ważna jest dywersyfikacja energetyczna i sprawne działanie państwa. Dlatego konsekwentnie wzmocniamy polski system paliwowy w obszarze zaopatrzenia – od importu, przez magazynowanie, po sprawną dystrybucję. Zwiększamy odporność łańcucha dostaw i umożliwiamy stabilne dostawy paliw na terenie całego kraju. To

ważne i niezbędne działania, biorąc także pod uwagę niezwykle ważną rolę Polski jako regionalnego lidera w obszarze energetyki – stwierdził Miłosz Motyka.

Głos zabrał również wojewoda kujawsko-pomorski Michał Szytybel, który zwrócił uwagę na strategiczne położenie regionu oraz jego kluczową rolę w architekturze bezpieczeństwa państwa: - Województwo kujawsko-pomorskie odgrywa niezwykle ważną rolę w logistyce zabezpieczenia paliwowego. Nasze położenie geograficzne – bliskość portów oraz województwa pomorskiego, gdzie wkrótce powstanie elektrownia atomowa – sprawia, że strategiczne ciągi logistyczne i przesyłowe zbiegają się właśnie u nas. Warto pamiętać, że w regionie funkcjonuje także sześć jednostek NATO, co w ramach ochrony ludności i obrony cywilnej nakłada na nas szczególny obowiązek dbania o bezpieczeństwo.

Kluczowy system zabezpieczenia paliwowego

Wojewoda podkreślił także, że resort energii stawia

przed regionem odpowiednie zadanie, ponieważ we współpracy ze spółką PERN – Kujawy i Pomorze tworzą jeden z kluczowych elementów krajowego systemu zabezpieczenia paliwowego. Jako administracja rządowa, urzędnicy dokładają wszelkich starań, aby procesy inwestycyjne w tym obszarze przebiegały sprawnie, szybko i z najwyższym priorytetem. Dopasowanie wszystkich tych elementów gwarantuje pełne bezpieczeństwo obywateli. Co kluczowe, bezpieczeństwo paliwowe kraju jest w pełni zapewnione, a realnie budują je właśnie tak potężne inwestycje, jak ta w Nowej Wsi Wielkiej.

Baza zapawnia masową obsługę wielu wagonów cystern. W ramach projektu w Nowej Wsi Wielkiej powstały: ● 42 nowe stanowiska rozładunkowe – każde z nich wyposażone w trzy niezależne przyłącza, co pozwala na jednoczesną obsługę różnych produktów ropopochodnych (oleju napędowego, benzyn silnikowych oraz oleju opałowego).

● Nowy układ torowy – wybudowany około 3,5 kilometra torów, co umożliwia sprawną

i płynną obsługę pełnych składów kolejowych.

System charakteryzuje się pełną dwukierunkowością. Pozwala zarówno na szybkie wtłaczanie paliwa z cystern kolejowych do zbiorników bazy (np. w przypadku dostaw morskich realizowanych przez Naftoport), jak i na sprawną załadunek paliw na kolej, w celu ich dalszej wysyłki do odbiorców w kraju.

Czym jest PERN?

PERN z siedzibą w Płocku to podmiot strategiczny dla bezpieczeństwa energetycznego Polski. Spółka zarządza infrastrukturą krytyczną, odpowiadając za tłoczenie rurociągami ropy naftowej do krajowych rafinerii Grupy Orlen w Płocku i w Gdańsku oraz do dwóch rafinerii w Niemczech, a także za magazynowanie w swych bazach na terenie całego kraju surowca i paliw. W Polsce PERN zarządza siecią ponad 2,5 tys. km rurociągów naftowych oraz produktowych, a także 19 bazami paliw, których pojemność wynosi w sumie ponad 2,8 mln m sześć. oraz 4 bazami ropy naftowej o łącznej pojemności ponad 4,2 mln m sześć.

©P

AUTOREKLAMA

0111514553



zAwody rowerkowe

→ Bydgoszcz



30 MAJA 2026

PARKING PRZY CENTRUM HANDLOWYM AUCHAN BYDGOSZCZ W FORDONIE

start GODZ. 11.00

Zapisy trwają do 29 maja

Zapraszamy dzieci w wieku od 3 do 11 lat

REGULAMIN I ZAPISY NA expressbydgoski.pl/rowerkibydgoszcz

ORGANIZATOR

PARTNER LOKALIZACYJNY

PARTNERZY

BD ART Sp. z o.o.
BYDGOSZCZ

Nie od razu Krzyżacy zamki zbudowali

Szymon Spandowski
szymon.spandowski@polskapress.pl

Naukowcy z Instytutu Archeologii UMK kończą badania terenowe w Starym Toruniu. Czekają jeszcze sporo pracy przy konserwacji znalezionych przedmiotów.

Podczas poprzedniej naszej wizyty archeolodzy zabierali się za poszerzenie wykopu, w którym wcześniej znaleźli pozostałości dużego domu ulokowanego w centrum osady.

Jak był zbudowany dom odkryty w Starym Toruniu?

- Powiększyliśmy ten wykop do powierzchni jednego aramówi prof. Jacek Bojarski. - Ma kształt pentagonu, czyli pięciokąta, dostosowaliśmy go do obiektu. Prawdopodobnie był to dom o wymiarach sześć na sześć metrów, ustawiony w trochę większym wykopie. Ściany były robione z dranic, ich linie widać bardzo dokładnie. Między ścianą drewnianą i ścianą wykopu wysypano jako izolator czy wypełnienie biały piasek wiślany. Ściany były wylepione gliną. Niewykłuczone,



Na terenie pierwszego Torunia archeolodzy odkryli pozostałości dużego domu z pierwszej połowy XIII wieku

że wyższa część miała konstrukcję szkieletową, czyli drewniane słupy i pomiędzy nimi trzcina zmieszana z gliną, która wypaliła się podczas pożaru.

Podobnie stało się również z glinianą polepą na podłodze. Co tam się mogło stać? Czy pożar wybuchł podczas walk? W pierwszej połowie XIII wieku Krzyżacy dopiero zaczy-

nali podbój Prus i nie szło im to łatwo.

Przypomnijmy, że legenda o pierwszej krzyżackiej osadzie na ziemi chełmińskiej mówi o strażnicy zbudowanej na wielkim dębie. Dziś, dzięki badaniom wiadomo, że zakonnicy nie ograniczyli się tylko do tego. W pierwszym wykopie archeolodzy trafili na ślady fosy

i wału, relikty umocnień znaleźli również szukając pozostałości średniowiecznego folwarku.

W jakich okolicznościach mogło dojść do pożaru?

- Tego jeszcze nie wiemy - mówi Jacek Bojarski. - Może do pożaru doszło podczas

walki, ale mogło być i tak, że przenosząc się na nowe miejsce Krzyżacy zabrali ze sobą wszystko to co mogło im się przydać, a resztę spalili. Podczas pożaru ściana południowa najprawdopodobniej przewróciła się w kierunku północy i stąd mamy nieco ukośny układ.

Dom z drewna i gliny o powierzchni 36 metrów kwadratowych, częściowo zagłębiony w ziemi... Nie od razu Krzyżacy swoje wielkie zamki i nowoczesne państwo zbudowali, chociaż poszło im bardzo szybko, gigantyczny ceglany mur odkryty niedawno przez archeologów na terenie kompleksu Ducha Świętego w Toruniu jest przecież tylko o nieco ponad sto lat starszy od chaty ze Starego Torunia.

Badając pozostałości XIV-wiecznego klasztoru naukowcy znaleźli również pozostałości hypocaustum, czyli ogrzewania podłogowego sprzed wieków. W średniowiecznym Toruniu takich systemów centralnego ogrzewania było wiele, jednak stawiając pierwsze kroki na ziemi chełmińskiej Krzyżacy takich wygod byli pozbawieni.

W chacie w Starym Toruniu archeolodzy nie trafili na ślady pieca, znaleźli je jednak obok domu. W bezpośrednim sąsiedztwie budynku stał duży piec o grubych ścianach.

- Piec był zewnętrzny, nie wiemy jeszcze jaką pełnił funkcję - mówi prof. Bojarski. - Może w jakimś stopniu ogrzewał budynek, może był to piec gospodarczy. Niestety znaleźliśmy w nim bardzo mało popiołów, pewnie zostały wygarnięte. Nie ma też śladów po jakichś zabiegach związanych z działalnością metalurgiczną.

Dlaczego miejsce, w którym znajdował się bardzo duży jak na tamte czasy i warunki dom, archeolodzy podzielili na cztery części?

- Zostawiliśmy świadki, aby było widać przekrój - wyjaśnia prof. Jacek Bojarski.

Poza śladami budowli, archeolodzy trafili rzecz jasna również na wiele przedmiotów, którymi posługiwali się mieszkańcy pierwszego Torunia. Do dalszych badań i konserwacji powędrowała ceramika, a także sporo przedmiotów metalowych, jak groty kusz czy strzemię.©©

Konsultacje w sprawie marihuany - blisko 22 tysiące opinii, większość za legalizacją

Agnieszka Romanowicz
agnieszka.romanowicz@polskapress.pl

Prawie 22 tysiące Polaków wzięło udział w konsultacjach na temat legalizacji niewielkich ilości marihuany. To jeden z najchętniej opiniowanych projektów ustaw. 94,9 procent opinii było „zdecydowanie za” dekriminalizacją konopi indyjskich.

Klub Poselski Centrum złożył projekt ustawy, zgodnie z którym legalne byłoby posiadanie do 15 g marihuany i możliwość uprawy jednej rośliny na własny użytek.

- Zamiast traktować konsumentów marihuany jak przestępców, proponuje się podejście oparte na zdrowym rozsądku, wiedzy naukowej i szacunku do wolności osobistej - czytamy w uzasadnieniu projektu ustawy.

Służby mają poważniejsze sprawy

- Olbrzymia większość spraw z ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii dotyczy posiadania

marihuany, przy czym znaczna ich część to sprawy drobne, a nawet niezwykle drobne, dotyczące posiadania bardzo niewielkich ilości przeznaczonych ewidentnie na cele własnej konsumpcji. Te sprawy pochłaniają zasoby policji, prokuratury, sądów oraz systemu penitencjarnego, pozwalając przy okazji na osiągnięcie dobrych wyników statystycznych stosunkowo niewielkim kosztem. Siły oraz środki finansowe przeznaczone na penalizację posiadania marihuany mogłyby zostać przeznaczone na zwalczanie poważniejszych przestępstw - dotyczących ofiar przemocy domowej, handlu ludźmi czy korupcji - uzasadniają autorzy Projektu.

Przypominając, że w 2024 roku 73 proc. Polaków opowiadało się za zaprzestaniem karaniam za posiadanie marihuany.

Dekryminalizacja posiadania i uprawy marihuany na własny użytek została wprowadzona m. in. w Austrii, Belgii, Estonii, Finlandii, Hiszpanii, Portugalii, Niemczech i Czechach.



W konsultacjach wzięło udział 22561 Polaków. 21 412 (94,9 procent) było „zdecydowanie za”, „zdecydowanie przeciw” - 12 (0,1 proc.)

Chętnie opiniowany projekt ustawy

Polski projekt w tej sprawie został poddany konsultacjom społecznym. Do udziału w nich zachęcał m. in. Marcin Skonieczka, były wójt gminy Płużnica, członek Klubu Parlamentarnego Centrum:

- To nie jest legalizacja handlu. To koniec karaniam lu-

dzi za prywatne decyzje. Mniej zakazów. Więcej rozsądku - apelował w internecie.

W konsultacjach wzięło udział 22561 Polaków. 21 412 (94,9 procent) było „zdecydowanie za”, „zdecydowanie przeciw” - 12 (0,1 proc.). To jeden z najchętniej opiniowanych projektów ustaw.

„Popieram projekt ustawy, ponieważ obecne przepisy penalizujące posiadanie niewielkich ilości marihuany są nieproporcjonalne i prowadzą do poważnych konsekwencji społecznych oraz prawnych wobec osób, które nie stanowią zagrożenia dla innych” - napisał Piotr Ożóg. - „Model represyjny skutkuje stygma-

tyzacją, utrudnieniami na rynku pracy (wpisy w rejestrze karnym) oraz karaniem czynów o niskiej społecznej szkodliwości.

Często używana

Jednocześnie badania wskazują na medyczne zastosowania marihuany oraz jej profil ryzyka, który w wielu aspektach jest niższy niż w przypadku alkoholu czy tytoniu. W związku z tym utrzymywanie surowej penalizacji jest nieuzasadnione i niezgodne z aktualną wiedzą naukową oraz trendami legislacyjnymi w Europie”.

„Problem nadużywania substancji to kwestia zdrowia publicznego i edukacji, a nie Kodeksu Karnego. Depenalizacja to przejście od ideologii strachu do polityki opartej na faktach” - napisał Krystian Wierciak.

Z badań Krajowego Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom wynika, że marihuana pozostaje najczęściej używaną substancją. Deklaruje to 24,6 procent mężczyzn i 14,1 procent kobiet.©©

Obcowanie z inną strefą kulturową uczy wiele

Magda Jasińska
Zwierzchnia przy muzyce

Mieczysław Szczepiński i jego najnowszy singiel „Every Body and Soul” opowiada o potrzebie wewnętrznej zmiany i odpowiedzialności za własne życie oraz świat wokół nas.

Przed nami singiel, który ja już dobrze znam...
A jak Ci się podoba?

Rewelacja!!! Czy ten utwór wróży coś większego?

Jasne, płytę, która wyjdzie 9 czerwca i nosi tytuł „Brothers”. Została nagrana w Los Angeles, zresztą chyba nagrywana, no bo to trwało dość długo, bo pracowanie na dwóch kontynentach, nie jest takie proste. Trzeba tam dolecieć, trzeba się spotkać, trzeba po prostu nagrać chór. Pomysł wyszedł od Wendy Waldman, z którą już kilka lat pracujemy i nawet nagraliśmy płytę, która nosi tytuł „Signs”, czyli znaki. A teraz ona miała taki pomysł, żeby po spotkaniu z chórem Life Choir, nagrać całą płytę, w związku z tym spotkaliśmy się z szefem chóru HB Barnum'em

i stworzyliśmy nowe piosenki w starym stylu. One są w takim takim vintage'owym stylu, czego zwiastunem jest „Every Body and Soul”.

Trzeba było lecieć do Stanów Zjednoczonych, nie można tego było jakoś połączyć zdalnie?

Nie byłoby tych emocji, tego czegoś. Nie no jak zdalnie komponować i pisać razem piosenki. Tym bardziej, że się znamy i lubimy, ponieważ z Wendy pracujemy od kilkunastu lat. Z chórem się pokochaliśmy i zaakceptowaliśmy jak trzeba. Znamy się, lubimy i czekamy na siebie. Od pracy na próbach w małych salkach, przez wspólne koncertowanie w Los Angeles. Na przykład trzy razy graliśmy koncerty w Los Angeles. Później oczywiście nagrywanie, to jest nie- zwykła przygoda. Powiem wam szczerze, w ogóle obcowanie z tą inną strefą kulturową uczy wiele. Uczy szacunku do muzyki, do muzykowania, uczy szacunku do dużego formatu ludzi, z którymi się spotykasz, a którzy są łatwiejsi w obsłudze, bo po pierwsze szanują muzykę i muzykowanie kochają



Mietek Szczepiński w Radiu PiK, piątek o godz. 20.05

i chyba jednak doceniają człowieka, którego lubią za charakter i jakieś tam zdolności. A to są naprawdę duże formaty. Wendy Waldman stworzyła piosenkę dla The Refugees. To są trzy kobiety, które pracowały ze mną nad tym singlem. Wszystkie koncertowały z wieloma artystami. Tam, w Stanach Zjednoczonych są znane i cenione, a u nas może trochę mniej. Oczywiście obcowanie z chórem od ławki, do nagrania i do wspólnego jedzenia, to jest coś niesamowitego. To jest doświadczenie zupełnie innej przestrzeni, zupełnie innego życia i doświadczenie też dużego dystansu, który dzieli

polską scenę muzyczną, od tej amerykańskiej.

Taką muzykę tam się śpiewa chyba w kościołach, wszędzie, a u nas jest trochę inny repertuar.

Wiesz co, u nas już to się zaczęło zmieniać od lat 80, czy nawet 70. Ta tradycyjna muzyka jest inna, bo jest ona protestancka i to jest muzyka gospel, jaka jest w nerwie muzycznym tego kraju. Mnóstwo ludzi zaczynało w kościołach od Whitney Houston, po wielu, wielu innych. I tam się dostaje Grammy w takiej dziedzinie, a u nas nie ma Fryderyka za muzykę gospel.

A szkoda.

Szkoda, ale u nas jest inna tradycja, taka bogoojczyźniana.

**Nie wiem, czy to zabrzmiał po-
prawie politycznie, ale w To-
bie ta dusza czarna po-
brzmiewa.**

Pobrzmięwa z lubością. Nie wiem, raz miałem sen, że moja mama była mulatką, ale to tylko sen. U mnie wszyscy biali z Kalisza, więc nie mam szans. Widocznie ktoś z góry powiedział: A ty będziesz tak śpiewał. Zafascynowany śpie-

wałem, biegałem po ulicy z walkmenem, śpiewałem po Kaliszu i marzyłem, żeby z czarnymi ludźmi kiedyś nagrać płytę. No i cóż marzenie ściętej głowy i po kilkudziesięciu latach spełniło się.

A jak ty będziesz ogrywał tę płytę? Przyjadą do Ciebie do Polski artyści zza oceanu? Jedyną rzeczą, żeby chór przyjechał do Polski to jest forsa.

Może zrobimy zrzutę?

Nie wiem jak to uczynić, może będzie myślał o tym mój manager, a jest on bardzo fajny, Michał Borowiec, i on będzie główkował, jak to uczynić, bo chciałem żeby, nawet jeżeli to nie będzie chór Life Choir, to żeby to byli jacyś czarni ludzie, którzy przyjadą i zaśpiewają ze mną ten materiał. Może skądś bliżej, może na przykład z Anglii.

Czyli są takie plany, żeby ogrywać ten materiał, bo on jest wart tego.

To jest kawał dobrej muzyki, dobrego przesłania. Staraliśmy się, żeby to był taki vintage.

Niedawno spotkaliście się w Filharmonii Pomorskiej,

na Twoim jubileuszu i byłaś oczarowana publicznością, która śpiewała z tobą właściwie wszystkie numery.

Ja też byłem oczarowany. Pozdrawiam serdecznie wszystkich, którzy byli wtedy w Filharmonii, ale i w ogóle publiczności z Bydgoszczy.

Tak jest jak jeździsz po kraju, to publiczność śpiewa z tobą wszystkie numery?

Może tak entuzjastycznie to nie. Ludzie przychodzą na koncerty bo ten koncert „40”, to program złożony z różnych moich płyt i z tego się bardzo cieszę. Między artystami a publicznością stoją zawsze media. Jeżeli coś zostanie opublikowane, to ludzie wiedzą, a jeżeli nie, to nie. Ja z mediami miałem sporo problemów i nie było mnie tam za często, a doświadczam mimo wszystko swego rodzaju żniwa, że mimo iż mało mnie było w mediach i ludzie nie mieli okazji ze mną się często spotykać, to jak już przyjdą na koncerty, pamiętają mnie i chcą mnie. Znamy mnie i pomagają im obcowanie ze mną, więc po prostu to jest rodzaj szczęścia. Nie ma większej nagrody dla żadnego artysty. (...)

REKLAMA

0011521052



Forum Dostawców
Przemysłu Energetycznego
i Obronnego

Rzeszów 2026

15 czerwca 2026 Rzeszów

ZAPISZ SIĘ JUŻ DZIŚ

energiazpolski.pl

Udział bezpłatny.

Liczba miejsc ograniczona.

- **Panele dyskusyjne** o sytuacji i inwestycjach w sektorach energetycznym i obronnym
- **Warsztaty** poświęcone mechanizmom finansowania dla dostawców, procesom certyfikacyjnym oraz prawu zamówień publicznych

Przyjedź. Pokaż swoją firmę.

Nawiąż kontakty z ludźmi, którzy decydują o kluczowych zamówieniach i nowych inwestycjach.



Jarosław Reszka

MINAŁ TYDZIEŃ CHLUBĄ BRUTALIZMU CIECIEM NA PLACU BUDOWY

Felieton jest najbardziej subiektywnym gatunkiem dziennikarskim i to dajemy, felietoniście, iście zbójce prawo do męczenia czytelników moimi natręctwami. Wykorzystując ten stan rzeczy, wracam dziś (być może z uporem godnym lepszej sprawy) do wodociągowego poematu heroikomicznego „Miasto gąbka”, a konkretnie do jego księgi, zatytułowanej „Skwer Leszka Białego”.

Nie wątpię, że wszyscy Bydgoszczanie pamiętają pierwszy etap prac nad instalacją podziemnych zbiorników na deszczówkę w kilkudziesięciu

punktach miasta. Z powodu zbyt późnej zmiany wykonawcy na finiszu prac trzeba było wychodzić ze skóry, by nie stracić ogromnego dofinansowania z europejskich funduszy. W rezultacie przez długie tygodnie kierowcy i ich pasażerowie tracili czas, nerwy i pieniądze w kaskadzie korków, które załazyły miasto. Tak to zabezpieczając się przed ulewą, utonęliśmy w kaskadzie.

Drugi etap realizacji śmiałej wizji prezesa Miejskich Wodociągów i Kanalizacji przebiega już bez widma finansowej gilotyny nad głową, toteż Bydgoszczanie



„A gdy wiosna buchnie majem, cały świat się majem staje”... Niestety, nie cały

nie toną w kaskadzie korków. Nie oznacza to bynajmniej, że wszystkie roboty przebiegają wzorowo, według najmniej kolizyjnego harmonogramu. Dowodem wspomniany na wstępie Skwer Podporucznika Leszka Białego.

Mamy teraz maj, najpiękniejszy miesiąc w roku, w którym flora czaruje nas kształtami i barwami, a fauna - ptasimi trelami. Ale nie na Skwerze Leszka Białego. Tam na maj przewidziano najbardziej inwazyjny etap prac. Ulicę Staszica zamknęto dla ruchu samochodowego. Większa część skweru jest rozkopana, a z dołu wyzieraają ściany potężnego zbiornika. Więcej Wasz Felietonista podejrzec nie zdołał, „wytrą-

biony” jako intruz przez leniuchującego w cieniu operatora koparki. Natomiast dzień w dzień, noc w noc wiernie towarzyszy temu pobojuwisku, niczym cieć o trzech nogach, zapuszczony Pomnik Tysiąclecia Państwa Polskiego. Tak to najznamienitszą bydgoską pamiątkę brutalizmu w architekturze i sztuce los połączył z brutalną siłą maszyn na XXI-wiecznym placu budowy.

A mnie, wprawdzie doceniającego wagę umów, wolnych terminów i mocy przerobowych, uparcie męczą dwa pytania. Dlaczego akurat w maju to się dzieje oraz jak będzie wyglądał skwer w czerwcu i wakacje?

Nie byłbym dziennikarzem, gdybym chciał słuchać tylko

własnego serca i rozumu. Ostatnio więc, niczym złota rybka rybaka, postanowiłem zapytać o trzy życzenia pro publico bono mojego kolegę z licealnej ławy, obecnie Fordonianina i od niedawna emerytowanego profesora Politechniki Bydgoskiej. Odpowiedź Rybaka nieco mnie zaskoczyła. Otóż najbardziej spać mu nie dają kwestie... komunikacyjne. Numer jeden na jego liście to piraci drogowi: pijani, naćpani, pędzący na wariata. Numer dwa: niefrasobliwi - jak to określił Profesor - roweryści i „hulajnogiści”. Uzasadniając to wskazanie, napisał do mnie w mailu, że to są problemy, „na które władze ani organa Miasta nie powinny przyomykać oczu, gdyż tradycyjni

użytkownicy chodników, czyli piesi, są coraz częściej ignorowani [...] nawet przez służby odpowiedzialne za przestrzeganie porządku i bezpieczeństwa na chodnikach”.

Trzecia bolączka Profesora Rybaka jest jeszcze bliższa naszemu grajdołkowi. To dewastacja mienia i brak odpowiednich środków przeciwdziałania nasilającemu się chuligaństwu. „Przykładem są tutaj - pisze mój kolega - tablice SDIP (Systemu Dynamicznej Informacji Pasażerskiej) na przystankach tramwajowych, które są systematycznie niszczone w tych samych miejscach, np. w ciągu kilkunastu dni od zamontowania nowych tablic znowu dewastowano te tablice na przystankach tramwajowych Bajka i Igrzyskowa w Fordonie. W tych samych miejscach zniszczono także elementy osłon bezpieczeństwa, oddzielających przystanki od jezdni”.

Profesor kończy swój wywód pytaniem retorycznym: „Czy jakieś służby nie powinny jednak przedsięwziąć środków zapobiegawczych w celu rozwiązania lub złagodzenia wyżej zasygnalizowanych problemów?” Ja dodam od siebie drugie retoryczne pytanie: Czy w dobie wszechobecnych kamer monitoringu tak trudno zarejestrować, ustalić i przykładowo ukarać przynajmniej niektórych piratów i wandalów drogowych? ©



Ryszard Tadeusiewicz, profesor AGH

ARMIA TERAKOTOWA, CZYLI ŻOŁNIERZE Z CERAMIKI

W moich felietonach opisuję chętnie osiągnięcia nauki i techniki, zwykle te najnowsze. Czasem jednak warto sięgnąć do dzieł sprzed wielu stuleci, żeby lepiej poznać przebogate dziedzictwo ludzkiej kreatywności.

Dziełem, które chcę dzisiaj Państwu przedstawić, jest „Terakotowa Armia” pochodząca z drugiego stulecia przed naszą erą. Jest to zbiór około 8.100 figur ludzkich i 670 figur koni naturalnej wielkości, wykonanych z wypalanej gliny (terakoty), umieszczonych w pobliżu grobowca pierwszego wielkiego władcy Chin, cesarza Qin Shi Huang.

Odwiedziłem ogromne muzeum przedstawiające owe fi-

gury podczas mojego wyjazdu do Chin w 2006 roku. Celem mojego wyjazdu był udział w konferencji naukowej, na której prezentowałem moje wyniki badawcze dotyczące neurocybernetyki, ale skoro już przyjechałem (na koszt gospodarzy!) do miasta Xi'an to postanowiłem odwiedzić także wspomniane muzeum.

Przedstawiłem to w obszernym fotoreportażu zatytułowanym „Cud techniki i sztuki sprzed 2300 lat”. Warto odszukać ten fotoreportaż w Internecie i obejrzeć go, bo zdjęcia są tu ważniejsze od słów.

Podziemna armia miała służyć cesarzowi na tamtym świecie. Złożona jest z figur wojowników naturalnej wielkości usta-

wionych w szyku wojskowym, czworkami, w długich oddzielnych wykopach. Figury te są dziełem sztuki (każdy wojownik ma inną twarz, ubiór i uzbrojenie), ale są też cudem techniki. Te wyroby ceramiczne wykonano tak solidnie, że przetrwały ponad dwa tysiące lat i po przypadkowym odkryciu w 1974 roku (podczas kopania studni) są do dziś udostępniane zwiedzającym. Rocznie muzeum odwiedza ponad 2 miliony turystów!

Sporo figur jest uszkodzonych, bo były one umieszczone w wykopach, głębokich na 4 do 8 metrów. Wykopy te pokryto drewnianym stropem i grubo przysypano ziemią, a wszystkich, którzy znali tajemnicę ich istnienia - zamordowano. Wiedza o podziemnej armii, która miała bronić cesarza na tamtym świecie, pozostała w tajemnicy przez ponad dwa tysiące lat! Ale prawa natury nie dały się oszukać, więc w wielu miejscach strop się załamał i ziemia się zapadła, niszcząc część figur. Próbuje się je obecnie rekonstruować, ale to bardzo żmudna praca, bo figur są tysiące - a każda jest inna. Jednak większość ocalała i jest dowodem kunsztu starożytnych chińskich ceramików.

Figury tworzone z uwzględnieniem takich szczegółów, jak na przykład środek ciężkości. Figura człowieka wykonana w całości z pełnej gliny, zwłaszcza z wyciągniętymi rękami, nie mo-

głaby sama stać, bo wysoko położony środek ciężkości przy wąskiej podstawie powodowałby nieuchronną wywrotkę. Dlatego tylko dolna część ciała, nogi wojowników, są wykonane z pełnej gliny, natomiast korpus, głowa i ręce są puste w środku.

Figury odtwarzały wygląd żywych wojowników w zadziwiająco dokładny sposób. Mnie zachwyciły na przykład buty odtworzone tak dokładnie, że widać, jak ich podeszwy były wypłatane ze sznurków!

Taką figurę (najwyższe z nich mają ponad 2 m wzrostu!) trzeba było uformować i wypalić, nie uszkadzając delikatnej rzeźby. To nawet dziś byłoby trudne. A chińscy mistrzowie zrobili to 200 lat przed początkiem naszej ery!

O wyższości ceramiki nad chemią świadczy fakt, że figury ocalały, natomiast katastrofalnie obszedł się czas z farbami, którymi były one pomalowane. W momencie odkopania przez archeologów każda figura była pomalowana. Natomiast w momencie wydobywania na powierzchnię po kontakcie z powietrzem farby zaczęły zanikać. Czasem odbarwienie całej figury trwało - na oczach zdumionych i przerażonych archeologów - zaledwie kilkanaście sekund!

No cóż, trzeba się pogodzić z tym, że solidna technika (ceramiczna) bywa trwalsza od sztuki (malarskiej). Jako inżynier jestem z tego rad!

ZDJĘCIE TYGODNIA



Myśleński lunapark zamienił się w „Zaczarowany Las”. Są tu m.in. odwrócony dom, autodrom, karuzela we-necka, mini zoo z kozami, królikami, owcami, alpakami i kangurami, trampoliny, tzw. eurobungee, zjeżdżalnia „Spływ Bobra”. A dla tych, którzy potrzebują chwili spokoju - Leniwa Strefa, Grillowisko i Kącik Twórczy



Robert Lewandowski został pożegnany na Camp Nou w sposób, na który mogą liczyć tylko klubowe legendy. I to wyłącznie te największe. Czy zdobywając w Barcelonie aż 7 trofeów spełnił dziecięce marzenie? Otóż nie, ale tylko z tego powodu, że życia i osiągnięć w Katalonii mały Bobek nie mógł sobie nawet wyśnić

Adam Godlewski

WIELKA I CAŁKIEM NIEOCZYSZCZONA KLUBOWA KARIERA ROBERTA LEWANDOWSKIEGO

Po ostatnim występie na Camp Nou w meczu z Betisem Sewilla, na który Robert wyprowadził kolegów z FC Barcelona w roli kapitana, przez polski X przetoczyła się dyskusja, czy może być uważany za legendę Barcy, czy może się nią czuć. Oczywiście niepotrzebna, bo zarówno kibice, jak i zawodnicy Dumy Katalonii fantastycznym zachowaniem jednoznacznie potwierdzili, że dla nich polski napastnik jest ikoną odrodzenia klubu. Przecież kiedy przychodził w 2022 roku, media w kontekście Blaugrana donosiły głównie o kłopotach finansowych, a tytuły mistrzowskie w okresie poprzedzającym ten transfer rozdzielały między sobą zespoły z Madrytu - Real i Atletico.

Niemal 34-letni gracz kosztował 45 milionów euro, co zważywszy na wiek i możliwości Barcy było kwotą niebagatelną, ale spłacił się szybko. I to nawet z nadstatkiem. Z Lewandowskim w składzie Katalończycy trzykrotnie wygrali rozgrywki La Ligi, trzykrotnie Superpuchar (w Hiszpanii rozgrywany w formie wyjazdowego miniturnieju, w Arabii Saudyjskiej), raz Puchar Króla. W 192 rozegranych spotkaniach - na wszystkich frontach, również w europejskich pucharach - Robert strzelił 119 goli. Do tego dorzucił Trofeo Pichichi dla króla strzelców ligi hiszpańskiej - i to już w premierowym sezonie. Doprowadził też Barcelonę do półfinału Ligi Mistrzów. W sytuacji, gdy

znaczna część jego rówieśników już tylko bawiła się w piłkę, on inkasował najwyższą w swojej karierze - i w aktualnym zespole - pensję (według „Forbesa” to 33 mln euro rocznie).

Trzeba wiedzieć, kiedy ze sceny zejść

Nowego, znacznie zredukowanego, kontraktu Robert na Camp Nou już nie chciał. I słusznie, skorzystał z przywileju największych gwiazd, by odejść na własnych warunkach. Także po to, aby zostać zapamiętanym z najlepszych chwil, z najbardziej udanych zagrań, z trofeów. Pewnie, miał w Barcelonie różne momenty, także te gorsze, a nawet słabe, w pewnym momencie musiał zrehabilitować cały swój system, aby odbudować się pod względem fizycznym, ale jednak tych dobrych, lepszych, a nawet najlepszych momentów było więcej. Znaczenie więcej.

Trafnie decyzję Lewandowskiego o zejściu z hiszpańskiej sceny niepokonanym skomentował znany menedżer sportowy, były właściciel Widzewa Łódź i były prezes Lecha, organizator walk braci Kliczków i Dariusza Michalczewskiego, Andrzej Grajewski: - Bardzo dobrze, że Robert ogłosił rozstanie z Barceloną, czas już na to najwyższy. Lewandowski to jest po Włodku Lubańskim drugi z największych piłkarzy, jakich mieliśmy w Polsce. Robert był świetnym ambasadorem nie tylko naszego futbolu, ale i kraju. Z naciskiem na słowo: był. Ka-

riera w sporcie zawodowym trwa od punktu A do Z, a później trzeba już odpuścić. Zawsze powtarzałem, że jeżeli bokser traci dżep, to natychmiast powinien się wycofać, bo mogą go zabić w ringu. Analogicznie - jeżeli piłkarz traci szybkość, powinien iść piętro, dwa, albo nawet trzy niżej. Jeżeli ma uciechę z grania, niech sobie dalej kopie i pokazuje swoje umiejętności, które na pewno posiada, ale już nie w Barcelonie. To był zbyt wielki zawodnik, żeby prosić się o grę nawet w Dumie Katalonii. Niech na koniec pobawi się w futbol - daj Boże, żeby za tak wielkie pieniądze, o jakich czytam - ale niech też pamięta o szacunku dla własnych dokonań na najwyższym poziomie. Bo to już przeszłość. Teraz wszyscy powinniśmy życzyć Robertowi przede wszystkim zdrowia. Oby jak najdłużej pozwalało Lewandowskiemu na czerpanie przyjemności z gry w piłkę.

Mamy Arrubarrenę, po co nam Lewandowski

Prawda jest taka, że cała dotychczasowa i - jak wszystko wskazuje - właśnie kończąca się

na tym najwyższym światowym poziomie kariera Roberta była nawet nie jak z bajki, bo była po prostu nie do przewidzenia. Mamy przecież do czynienia z piłkarzem - jak to się fachowo od kilku lat określa w nomenklaturze szkoleniowej - późno dojrzewającym. Po zmianie w przepisach (wcześniej w poszczególnych kategoriach wiekowych obowiązywał podział na urodzonych „do lipca”, a zawodnicy z drugiej połowy roku trafiali już do młodszej drużyny) na rzecz pełnych roczników, chłopiec, który na świat przyszedł w drugiej połowie sierpnia, nie miał łatwego życia. Na wstępnych etapach piłkarskiego wtajemniczenia ustępował rówieśnikom wzrostem, siłą - generalnie pod względem fizycznym. W efekcie nigdy nie przebił się nie tylko do juniorskiej reprezentacji Polski, ale nawet do reprezentacji Mazowsza. A kiedy już trafił do II zespołu Legii, po roku z niego wypadł. Dziś chętnie szydziśmy z ówczesnego dyrektora sportowego stołecznego klubu, Mirosława Trzeciaka, który w 2008 roku „błysnął” stwierdzeniem: „Niepotrzebny nam Lewandowski,

będziemy mieć Arrubarrenę”, ale - po prawdzie - nawet jako król strzelców II ligi (dziś ta klasa rozgrywkowa nosi nazwę 1. liga) w ogólnym odbiorze nie rokował na najlepszego polskiego piłkarza w historii i najlepszego środkowego napastnika pierwszego ćwierćwiecza na świecie, którym został. Jeśli ktoś twierdzi, że przewidział takie splendory dla Roberta - jedynie się chwali. Albo zwyczajnie kłamie.

W życiu trzeba mieć szczęście

Owszem, jako król strzelców III ligi (dziś to liga 2.) i następnie II ligi (dziś to liga 1.) w barwach Znicza Pruszków - mając niemal 60 goli w dorobku w tych dwóch klasach - Lewandowski miał już inne notowania niż napastnik, który w Legii II rozegrał 13 meczów i zdobył 2 gole na peryferiach poważnego futbolu. Tyle że kolejni po zakontraktowaniu środkowego napastnika Znicza wcale nie ustawiali. Owszem, bardzo chciał go pozyskać zarządzający wtedy Jagiellonią Cezary Kulesza, dobrymi pieniędzmi kuśiła też Cracovia, ale wtedy nie były to kluby z elity.

Lech - po fuzji z Amiką Wronki - do którego ostatecznie trafił Robert - także nie miał ugruntowanej pozycji na krajowym rynku, tak naprawdę Kolejorz dopiero odbudowywał renomę po kwarantannie na zapleczu ekstraklasy i finansowych perturbacjach. A jednak Poznań - choć wcale nie był oczywisty - okazał się najlep-

szym z możliwych wyborów. Nieostatni raz w karierze Roberta. O ile bowiem początek miał on trudny, a potem dał się poznać jako megazawodowiec, który na formę i sportową długowieczność zapracował ciężką pracą i wzorowym prowadzeniem się, w życiu miał mnóstwo szczęścia. A to czynnik nieodzowny dla udanej kariery. I niezwykle istotny.

Z perspektywy czasu za fartowny można uznać nawet fakt, że Lewandowski odbił się od Legii, bo w tamtym czasie zespół z Łazienkowskiej - owszem solidny - bardziej kojarzył się z „imprezowiczami” niż z promocją wiodących reprezentantów Polski. Pewnie (lekką) przesadą byłoby stwierdzenie, że Warszawa psuła wtedy utalentowanych zawodników, ale na pewno nie gwarantowała takiego postępu, jaki Robert zrobił w Poznaniu.

Stanowcze nie dla Szachlara, Guangzhou czy PSG

Lewandowski miał to - podwójne - szczęście, że jego agentem został Cezary Kucharski, którego zawsze (to jest od czasów piłkarskich „Kucharza”) sentymentem darzył Franciszek Smuda, ówczesny trener Lecha. Śp. „Franz” może i był naturszczykiem, ale panów piłkarzy rozpoznawał bez pudła, już po tym - jak się chwalił - jak wchodził po schodach. I Smuda rzeczywiście zobaczył to coś u Lewandowskiego - a potem bardzo umiejętnie, stopniowo, wprowadzał do zespołu.

*JEŚLI KTOŚ TWIERDZI,
ŻE PRZEWIDZIAŁ TAKIE
SPLENDORY DLA ROBERTA
- JEDYNIE SIĘ CHWALI.
ALBO ZWYCZAJNIE KŁAMIE*

A Kucharski - w przeciwieństwie do większości ówczesnych (choć dziś rynek niewiele się różni) menedżerów był mądry, ustawiony po karierze piłkarskiej i nie gonił za kasą. Kierował się instynktem, i sportowym rozwojem prowadzonego zawodnika; pieniądze były na drugim planie przy wyborze kolejnych pracodawców.

Dlatego z Lecha Lewandowski trafił do Borussia Dortmund, a nie np. Szachtara Donieck, choć Lech mógłby zarobić co najmniej 30 procent więcej w roku 2010 na sprzedaży króla strzelców i mistrza Polski w jednej osobie na Ukrainę. A co za tym idzie - prowizja agenta także mogłaby być co najmniej o jedną trzecią wyższa. Także później ani piłkarz, ani agent nie oglądali się na jakieś kosmiczne pieniądze, które proponowały kluby z Premier League, czy chińskie Guangzhou Evergrande (30 mln euro netto w 2016 roku leżało na stole), tylko spokojnie budowali pozycję i karierę w Niemczech. Zresztą, przechodząc do Barcelony Lewy miał lepszą ofertę (opiewającą na 35 mln rocznie) z PSG, ale wolał magię Dymy Katalonii niż (nieco) wyższy kontrakt w stolicy Francji.

„Supertalentem to jest Kagawa, nie Robert”

Początek w futbolu przy dużym F - w Dortmundzie - Robert miał w sumie niezły, ale do zachwytów było daleko. Bo na tamtym etapie nasz genialny (jak się później okazało) rodak - delikatnie określając - nie był mistrzem pierwszego wrażenia. Dość powiedzieć, że po kilku miesiącach, Roman Kołtoń - komentator Bundesligi stwierdził w jednym z programów, że „Kagawa supertalentem jest, a Lewandowski po prostu nie” - co złośliwcy chętnie przypominają dziennikarzowi do dziś.

Prawda była jednak taka, że RL9 w Dortmundzie dopiero nabierał rozpędu. I dopiero tam - ale wcale nie od razu - zorientował się, jaki rzeczywistość ma potencjał i uwierzył w siebie. Tyle że to też był proces - w 2011 roku dołożył (tylko) 8 goli do tytułu mistrza Niemiec dla Borussia, w 2012 był już autorem spektakularnego hat-tricka strzelonego Bayernowi w finale Pucharu Niemiec, w 2013 - niejako zadając kłam ocenie jednego z najbardziej opiniotwórczych dziennikarzy, że „jest najlepszym polskim piłkarzem, ale nigdy nie będzie topowym na świecie” zapakował czteropak Realowi Madryt w półfinale Ligi Mistrzów. W 2014 roku odchodził do Bayernu jako król strzelców Bundesligi i najlepiej opłacany piłkarz w historii Borussia.

To - wbrew pozorom - ważny wątek, bo o ile Robert miał swój charakter, o tyle w bardzo dużym stopniu ten piłkarski charakter pomógł mu zbudować menedżera Kucharskiego, którego rola w rozwoju Lewandowskiego jest dziś niesłusznie (za-



Przyszedł jako gwiazda, odchodzi jako legenda - napisano w mediach społecznościowych FC Barcelona. Trzeba przyznać, że pożegnanie było królewskie. Znacznie bardziej emocjonalne niż choćby pożegnanie w Monachium

pewne także na skutek sporu sądowego, który piłkarz z menedżerem toczą po zakończeniu współpracy) pomniejszana, czy wręcz pomijana.

Wcale nie taki miły był ten chłopak

Po raz pierwszy rozmawiałem z Lewym w 2008 roku, gdy został królem strzelców II ligi - uznałem, że to wystarczająca przepustka, żeby niespełna 20-letni młokos trafił na... trzecią okładkę branżowego miesięcznika „Piłka Nożna Plus”; zaczął od wypełnienia modnej wówczas ankiety personalnej. Robert bardzo grzecznie opowiedział, że jego ulubionym klubem jest Real Madryt, że stara się wzorować na Thierryem Henrym, jakiej muzyki słucha i do zakupu jakiego auta się przymierza.

Pierwsze wrażenie było więc takie, że to miły i ogarnięty chłopak, który wie czego chce od życia. Tym bardziej jednak wprowdził mnie w zdziwienie, a nawet lekkie osłupienie, kiedy dwa dni później zadzwonił z awanturą i grubym słowem, dlaczego opublikowałem „kwiatriki”, o których wcale nie mówił. Był zaskoczony, że choć rozmawiał tylko ze mną - a ja nie zdążyłem jeszcze opublikować tekstu z uwagi na cykl produkcyjny miesięcznika - ktoś inny opublikował zmyślony wywiad z nim.

W sumie, szybko wyjaśniliśmy sobie nieporozumienie, i zakończyliśmy rozmowę telefoniczną ze śmiechem, ale miałem dowód, że ten chłopak - gdy trzeba walczyć o swoje - wcale taki miły nie jest. Przeciwnie, jest charakterny i to bardzo.

Dlatego Kucharski - swoją drogą też wyjątkowo charakterny - nie miał problemu, aby ułożyć Roberta na tamtym etapie na własną modłę. Choćby nakłonić Roberta do kolegowania się w Dortmundzie przede wszystkim z niemieckimi piłkarzami (a nie dwójką reprezentantów Polski). Bo to miało pomóc w szybszej nauce języka i aklimatyzacji w zagranicznej szatni. A po jakimś czasie obaj doszli do wniosku, że skoro Lewandowski zaczynał z najniższego płacowego pułapu w BVB, to po gigantycznym skoku jakościowym, którego dokonał w Borussia, zażądają najwyższej pensji w historii klubu. I oczywiście - dopięli swego!

Historia „królewskich” rozmów z „9” w tle

Robert odszedł z BVB na swoich warunkach - bez sumy odstępnego - ale jako posiadacz rekordowego na tamte czasy, wynoszącego 7 milionów euro kontraktu. W Bayernie na dzień dobry dostał 15 milionów, ale bardzo szybko zobligował swoich mene-

dżerów, żeby podbili stawkę do najwyższej w monachijskim klubie. Igdy odchodził - progresywna umowa gwarantowała mu już 22 miliony euro za rok. A były jeszcze bonusy, za tytuł króla strzelców (podejmowane) i (niepodejęty) za Złotą Piłkę. Dlaczego warto teraz o tym przypomnieć? Otóż Lewandowski, kiedy już odkrył swoją wartość, potrafił się cenić, ale - co jest istotne - nie przeceniał; dyktował warunki, które były spełniane.

Wiele osób, i to nie tylko wywodzących się z grona polskich kibiców Realu Madryt, zastanawia się, dlaczego Robert - nie kryjąc się z sympatiami do Królewskich - nigdy nie trafił na Santiago Bernabeu, nawet w sytuacji, gdy gigant z hiszpańskiej stolicy także był zainteresowany polskim golemadorem.

Otóż prawda jest banalna - chcąc sprawdzić, jaką rolę szykują w Madrycie dla Lewego, agent Kucharski zażądał koszulki z „9” dla swojego zawodnika. A kiedy nie dostał oczekiwanego numeru - już wiedział, że Robert nie będzie tam pierwszym wyborem i nie ma sensu kontynuować rozmów.

Rekordy zostaną niepokonane. Można przyjmować zakłady

Lewandowski zrobił oszałamiającą karierę - zarówno w wy-

miarze sportowym, jak i finansowym. Przed nim, żaden z polskich piłkarzy nawet nie zbliżył się do takiego poziomu. Po nim - będziemy jako kibice czekać zapewne kilka generacji na kolejnego giganta, choćby zbliżonego pokroju.

Pewnie, można podsumować karierę Roberta wspominając Złotą Piłkę, z której został okradziony w roku pandemicznym, można też podkreślać niedosyt wynikający z dokonania reprezentacji Polski w czasach jego gry i kapitańskiej kadencji; po prawdzie cały dorobek w tym segmencie zamknie się na jednym ćwierćfinale Euro i na jednym awansie do 1/8 finału na mundialu. I to oczywiście skaza na CV tak wielkiego piłkarza. Tyle że - nawet taki geniusz jak RL9 sam meczu nie wygra. A jego indywidualne rekordy - 89 goli w 169 meczach - długo, przez dekady, a można pewnie przyjmować zakłady, że do końca obecnego stulecia, pozostaną niepokonane.

Gracies, Robert!

Biorąc pod uwagę bardzo dyskretny punkt wyjścia, Lewandowski wyciągnął z klubowej kariery absolutnego maksa. Co zapamiętamy w pierwszej kolejności? Na pewno 5 goli wbite w 9 minut Wolfsburgowi, bo to wyczyn, który zapewnił Rober-

towi trwałe miejsce w historii światowego futbolu.

Podobnie jak 41 bramek w sezonie Bundesligi i odebranie - galaktycznego - jak się wydawało rekordowi Gerdowi Muellerowi. Do tego 14 tytułów mistrza kraju (1 w Polsce, 10 w Niemczech, 3 w Hiszpanii), 12 tytułów króla strzelców (III liga, II liga, ekstraklasa w Polsce, 7 w Bundeslidze, 1 w Hiszpanii, 1 w Lidze Mistrzów), 2 tytuły Piłkarza Roku FIFA, 13 tytułów Piłkarza Roku w Polsce, 2. miejsce w plebiscycie Złotej Piłki...

Przed wszystkim jednak piękne pożegnanie na Camp Nou, pełne - momentami nabożnego - respektu ze strony klubowych kolegów z kultowej Barcelony, którego w sumie też, jak większości sportowych dokonania RL9, nikt się nie spodziewał...

„I taka właśnie jest ta kariera Lewandowskiego. Ciągłe można powtarzać: nie spodziewałem się, nie pomyślałbym, przekroczyło to moje najśmielsze oczekiwania. Gracies, Robert. Znowu wygrałeś...” - bodaj najtrafniej spuentował zarówno pożegnanie, jak i całą karierę naszego najlepszego piłkarza w historii Mateusz Świąciecki, komentator Eleven Sport, który najczęściej komentował mecze Barcelony z Lewandowskim w składzie...

JUŻ NIE PA, PA POLSKO, ALE PA, PA ANGLIO. NASI ZAMIENIAJĄ HELLO NA DZIEŃ DOBRY

Bydgoszczanin poleciał ponad 20 lat temu do Anglii w koszulce z napisem „Ostatni gasi światło” - w Polsce z ponad 15-procentowym bezrobociem. A dziś? Emigranci wracają z dziećmi, które Polskę znają tylko z wakacji raz w roku. Tęsknili, żeby być u siebie, wśród swoich

Agnieszka Domka-Rybka

W marcu 2006 r. po raz pierwszy wsiadłam na pokład Ryanaira z Bydgoszczy do Wielkiej Brytanii. Wtedy nie latał jeszcze samolot do Dublina, gdzie do dziś mieszka moja koleżanka, więc miałam przesiadkę na lotnisku Londyn Stansted. Dlaczego w ogóle o tym wspominać? Bo nie zapomnę chłopaka obok mnie w fotelu, który przeżył muskuły w koszulce z napisem: „Ostatni gasi światło”. Król życia mówiący: „Pa, pa, Polsko”...

Wymowne, bo wtedy bezrobocie w naszym kraju sięgało ponad 15 proc. Trudno się dziwić, że szczytowy okres migracji zarobkowej przypadł właśnie na lata 2006-2007, kiedy to w Anglii mieszkali i pracowali ponad milion naszych rodaków.

„Bałem się powrotu, ale to była słuszną decyzją”

Obecny trend jest odwrotny. Dziś Polacy opuszczają United Kingdom. Z najnowszych danych GUS wynika, że w ostatnich latach z Wielkiej Brytanii wróciło do Polski ponad 130 tys. rodaków. Po latach żegnają też Irlandię, Holandię, Niemcy, Skandynawię czy nawet USA i Australię. Emigracja zweryfikowała ich marzenia o rajach za granicą?

Ostatnie dane regionalne GUS, dotyczące powrotów do Kujawsko-Pomorskiego, są z 2024 r., kiedy wróciło tu 699 osób, głównie z Anglii, Niemiec, Holandii i Irlandii. Wyjechało mniej, bo 461.

W mediach społecznościowych powstaje coraz więcej grup wsparcia dla powracających do Polski. Łatwo nie jest, bo tutaj żyjemy teraz w innym świecie niż ten, z którym się przed laty pożegnali. Najgorzej podjąć taką decyzję, gdy za granicą urodziły się dzieci, chodzą tam do szkoły, czy też mieszanym małżeństwom. Jednak i takie rodziny decydują się na powrót.

Znają świetnie język angielski, ale czy to dziś wystarczy, żeby w Polsce dostać dobrą pracę, gdy wiele osób tutaj też zna języki? Niektórzy wracają ze zwierzętami.



Wielka Brytania była głównym celem polskiej emigracji zarobkowej po wejściu Polski do UE, gromadząc ponad milion Polaków. Obecnie trend się odwrócił

O co pytają nasi emigranci? Od dłuższego czasu obserwuję grupę „Powrót z emigracji do Polski”, skąd podzielę się kilkoma spostrzeżeniami.

Pani Anna: „Mam 49 lat. Planuję powrót z UK po ponad 20 latach, mam 3 angielskie dyplomy (Bsc Psychologia, mgr odżywiania i mgr dietetyki), czy mam w Polsce szanse na znalezienie pracy, niekoniecznie w zawodzie?”

Pani Joanna: „Ja mam dwa kierunki studiów i dyplomy z Food Technology z Australii. Niestety, w Polsce nie mogę znaleźć pracy w zawodzie, w ogóle nie akceptują moich studiów i praktyki zdobytej w Australii i UK. Prowadzę działalność, ale zupełnie nie jest związana z zawodem. I też mi pięćdziesiątka stuknęła”.

Pani Ewa: „Po 15 latach chciałam wrócić do kraju. Mam partnera Brytyjczyka, chcemy wziąć ślub w Polsce zaraz po przyjeździe. Nie wiem od czego zacząć, żeby ogarnąć mu pobyt na stałe. Mamy dwójkę dzieci z podwójnym obywatelstwem”.

Pani Magda: „To była najgorsza moja decyzja w życiu, że przed laty wyjechałam do Anglii, ale tutaj urodziłam dzieci. Synek ma dwa lata, a córka kończy szkołę. Czekamy na wakacje, Zuzia na studia pójdzie już w Polsce. Nie mogę się docze-

kać. Mam tak dość drożyzny, deszczu i wykładzin śmierzdzących wilgocią w wynajmowanym 100-letnim domu. Mam nawet dość podwójnego kranu”.

Pan Tomasz: „Od ponad 20 lat przebywam na obczyźnie, Polskę odwiedzam z reguły na kilka tygodni w roku. Jakies 10 lat temu zacząłem zastanawiać się nad powrotem i do dzisiaj pozostaje to raczej, niestety, marzeniem ściętej głowy. Od kąd pojawiła się myśl o powrocie, mam wrażenie, że w Polsce jest z roku na rok coraz gorzej. Mam na myśli aspekt finansowy - ceny i zarobki. Wiadomo, „morza szum, ptaków śpiew, złota plaża pośród drzew” i tym podobne klimaty to jest to, za czym wszyscy tęsknimy. Czytając Wasze posty zażyczyłem sobie ludzi, którym udało się powroty. U mnie zanosi się, niestety, takie szczęście dopiero na emeryturze. Ale poczekam, warto. Pozdrawiam”.

Pani Wioletta: „Mam 13-letnią córkę i 14-letniego syna, którzy nie chcą wracać. Twierdzą, że dla nich nasz powrót, rodziców, to dla nich emigracja do kraju, który znają tylko z wakacji raz w roku. Chyba poczekamy z mężem jeszcze z 10 lat i wrócimy, jak dzieci się usamodzielnia. Jednak chciałabym poznać opinie osób, które wyjeżdżają mimo sprzeciwu dzieci. Jak one sobie poradziły

w Polsce? Może sobie nie poradziły i wróciliście z powrotem? Co ich przekonało do Polski? Nadmienię, że oboje płynnie mówią po polsku, ale nie piszą i nie czytają w tym w języku”.

Pan Rafał: „8 miesięcy temu wróciłem do Polski z UK po 13 latach. Mam 35 lat, jestem singlem, ze średnim wykształceniem technicznym. Odłożyłem za granicą wystarczająco na wkład własny do kredytu hipotecznego na średniej wielkości mieszkanie. Z UK przywiozłem też ze sobą motocykl. Certyfikat kompetencji z tego, czym się zajmuję oraz bardzo dobrą znajomość języka angielskiego wystarczyły, żebym znalazł w Polsce dobrze płatną pracę w IT na podobnym stanowisku, które piastowałem przez ostatnie 3 lata w Anglii - Service Now Administrator. Pracuję z domu 99 procent czasu. Jestem zatrudniony na umowie o pracę, która właśnie została przedłużona na czas nieokreślony, więc wkrótce zamierzam wziąć kredyt hipoteczny i iść na swoje. Chociaż biurokracja w Polsce jest nadal dosyć dużym problemem, to w urzędach spotykam uprzejmych, rzetelnych ludzi, którzy chcą pomóc. Ani razu przez tych 8 miesięcy nie spojrzałem wstecz z żalem. Bałem się powrotu, ale okazał się słuszną decyzją. Jasne, tęsknię za pewnymi miejscami i osobami w UK, ale nie za życiem tam. W Polsce jest bezpiecznie,



Polacy wyjechali do Irlandii głównie po 2004 r., po wejściu Polski do UE, tworząc tam największą mniejszość narodową

czyściej, spokojniej. Przede wszystkim jestem u siebie, wśród swoich. Asamoty nie przestały latać. Zawsze mogę polecieć odwiedzić starych znajomych i miejsca, za którymi tęsknię”.

Pan Michałina: „Witam, czy jest tutaj ktoś, kto po roku lub dwóch latach wrócił znów do UK? Przyjechalibyśmy, bo tęskniłam za Polską i ze względu na dzieci. Teraz zaczynam zastanawiać się czy to był dobry pomysł. Nie chodzi o pracę, ale ogólnie o styl życia i przyzwyczajenia? Czy to mija? Jesteśmy niespełna rok w Polsce?”

Mają rodzinę w Polsce, ale przyjaciół za granicą

Według Tomasza Marcysiaka, socjologa, profesora Uniwersytetu WSB Merito w Toruniu, dla części emigrantów Polska istnieje w pamięci z lat 90., początku UE, biedniejsza, wspólnotowa, przewidywalna kulturowo: - Tymczasem wracając do kraju bardziej indywidualistycznego, cyfrowego, droższego, mniej religijnego niż kiedyś, więcej spolaryzowanego politycznie i przede wszystkim z innym rynkiem pracy i stylem życia. Można to nazwać „odwróconym szokiem kulturowym”, ponieważ powrót bywa trudniejszy niż emigracja. Dla osób wyjeżdżających w wieku 20-30 lat Polska pozostaje ojczyzną. Dla ich dzieci, urodzonych w Anglii, Irlandii czy Ho-

landii, ojczyzna bywa bardziej skomplikowana. Nadal mają polskie nazwisko, ale myślą po angielsku. Mają rodzinę w Polsce, ale przyjaciół za granicą. Jeżeli nastolatek wraca do polskiej szkoły po latach w innym systemie edukacyjnym, to ma często ogromny stres, co może być ważniejszym czynnikiem procesu reemigracji niż zarobki rodziców. Stąd szukanie wsparcia instytucjonalnego w grupach pomocowych w mediach społecznościowych - komentuje prof. Marcysiak.

Mówi, że pewnym sensie takie nieformalne grupy są bardziej pomocne w adaptacji niż rodzina czy lokalna społeczność. Według danych GUS, około 1,5 mln Polaków nadal przebywa za granicą. W 2024 r. do Polski na stałe wróciło ok. 19,5 tys. osób, co było wzrostem o około 30 proc. względem roku wcześniejszego: - Choć jest to zauważalny trend, nie oznacza jeszcze masowego exodusu. Ale warto zauważyć, że w przypadku Niemiec pierwszy raz od ponad 25 lat wraca więcej osób niż wyjeżdża. Niestety, nie ma jeszcze dokładnych danych o dzieciach migrantów, małżeństwach mieszanym czy trwałości powrotów. Tu widzę raczej miejsce dla badań. I pewnie dopiero za kilka lat będzie można powiedzieć o rzeczywistym efekcie reemigracji - podsumowuje socjolog. ©

KSIĄDZ I KUCHARKA. ZGORSZENIE CZY NAGONKA NA PROBOSZCZA?

Grono wiernych z tej parafii w Toruniu kilka razy chodziło do biskupa ze skargami na romans proboszcza. Ksiądz odpowiada: to wszystko pomówienia, a poza tym pani X. już w kuchni nie pracuje. Mówi, że czuje się ofiarą nagonki

Małgorzata Oberlan

Dajcie chłopu spokój”, „Lepsza baba niż ministrant”, „Natury nie oszukasz”, „Takie są skutki celibatu” - komentarze internautów w tym tonie dominowały pod naszą pierwszą publikacją na ten temat. I zaskoczyły grupę skarżących się wiernych z Torunia.

Dla nich, osób głęboko wierzących, sytuacja w parafii jest „nie do pojęcia i nie do zniesienia”. Mówią o trwającym publicznym zgorszeniu, hipokryzji, braku zdecydowanej reakcji biskupów. Fakt, że w roku 2026 relacja księdza z kobietą dla wielu ludzi nie jest już niczym szokującym, budzi ich autentycznie zdziwienie. Dobijając się ze swoją sprawą do różnych mediów liczyli na to, że ksiądz i kobieta zostaną potępieni. A tak się nie dzieje - tym bardziej, że nie wiadomo tak naprawdę, co ich łączyło i łączy.

Poza tym, ksiądz we własnej parafii naprawdę ma spore grono sympatyków i osób gotowych stawiać w jego obronie.

Skarżący się parafianie: „Wszystko to jawne zgorszenie”

Duża parafia w Toruniu - tutaj rzecz się dzieje. Celowo nazw i personaliów w tekście nie podajemy. Poziom emocji w parafii i tak jest wysoki.

Wierni kontaktujący się z redakcją „Nowości” i szukający dróg nagłośnienia sprawy także w innych mediach mówią, że mają już tego wszystkiego dość. Związek proboszcza z panią X. spowodował już cały łańcuch złych wydarzeń i końca nie widać.

- Pani X. pracowała w kuchni na plebanii i tak to się zaczęło. Trudno było tego nie zauważyć. Przytulali się z proboszczem na widoku, wychodziła od niego z plebanii po nocach, razem wyjeżdżali nad morze. „Moja (tu: imię pani X.) będzie zawsze blisko mnie” - mówił proboszcz. A przy tym wszystkim nadal pani X. rządzi się w ko-



FOT. ISTOCK

Ksiądz proboszcz twierdzi, że - generalnie - relacji o charakterze przyjacielskiej nadano inny, krzywdzący wymiar. Rozpowszechnianie przez parafian takich „informacji” oraz skarżenie się do biskupa odbiera jako pomawianie, hejt, a wręcz zaszczuwanie. Nie tylko jego samego, ale i „tej drugiej osoby”/zdjęcie ilustracyjne

ściele. Założyła wspólnotę, rozstawia innych po kątach, potrafi nawet zrugać wikariusza - skarżą się ludzie.

Według relacji tych wiernych, wszystko to „jawne zgorszenie”. A kto się sprzeciwia czy protestuje, musi liczyć się z odwetem. Osoby, które interweniowały kilkakrotnie w ubiegłym roku w Kurii Diecezjalnej w Toruniu, otrzymały pismo od adwokata - w tonie zastraszającym, jak twierdzą. Same zatem też skrzywały z usług prawników. Ci m.in. zażądali dowodów na rzekome zniesławianie księdza i temat na gruncie prawnym przysechł.

- Nie mogąc tego wszystko znieść, sami odeszli z parafii

dwa zakrystianie. Wikary sam prosił biskupa o przeniesienie i już jest w innej parafii. Sytuacja jest dla osób wierzących nie do pojęcia i nie do zniesienia. Ludzie odwracają się od takiego kościoła - skarżą się wierni.

Grupa parafian w zeszłym roku najpierw napisała pismo do biskupa, a potem kilkakrotnie chodziła do Kurii Diecezjalnej Toruńskiej na spotkania. Przebieg części z nich dość dokładnie udokumentowała i dokomentowała tę przekazala naszej redakcji. O spotkaniach - w dalszej części tekstu. Ich finał jest dla skarżących się generalnie niesatysfakcjonujący: bo relacja proboszcza i kobiety trwa, ich zdaniem, nadal.

Ksiądz proboszcz: „Odrzewany kotlet. Pani X. już w kuchni nie pracuje”

W rozmowie z naszą gazetą ksiądz proboszcz przekazuje, że - generalnie - relacji o charakterze przyjacielskiej nadano inny, krzywdzący wymiar. Rozpowszechnianie takich „informacji” oraz skarżenie się do biskupa odbiera jako pomawianie, zniesławianie, hejt, a wręcz zaszczuwanie. Nie tylko jego samego, ale i „tej drugiej osoby”.

- Tamta strona chodziła do Kurii kilka razy. Ja byłem raz składać wyjaśnienia przełożonym. To jedno spotkanie wystarczyło. Pani X. już w kuchni nie pracuje - mówi proboszcz.

Przyznaje, że kierował do osób skarżących się na niego pismo przez adwokata. I że od prawnika strony przeciwnej otrzymał odpowiedź. Wie, że w świetle prawa nie ma tutaj dowodów na to, by miał paść ofiarą jakiegoś czynu zabronionego (np. hejtu, pomawiania). Na gruncie czysto ludzkim jednak to on czuje się w tej sytuacji ofiarą - złych ludzkich języków.

- Czym, księdza zdaniem, kierują się skarżące się osoby? Jakie mają motywacje? Przecież to ludzie głęboko wierzący? - pytam księdza.

- Nie mam pojęcia, co im przyświeca. Ale raczej nie dbałość o dobro parafii - odpowiada.

Po naszej rozmowie i pierwszej publikacji (bez żadnych nazw, personaliów, szczegółów pozwalających zidentyfikować parafię i osoby), proboszcz przysłał jeszcze do naszej redakcji maila. Pisze w nim, że: „Sprawa została wyjaśniona i w kurii, i w parafii. A na pewno nie ma pożaru, żeby coś wrzało i narastało, bo to ogrzewany kotlet. A skoro pewnych rozstrzygnięć nie chce przyjąć jedna czy dwie osoby... Nie chcę mówić źle o nikim, więc za mało mówię”.

Spotkania z biskupem. „Gdzie mam go przenieść w środku roku?”

Dla skarżących się tymczasem to nie żaden ogrzewany kotlet, tylko trwająca nadal relacja z panią X. Uważają, że proboszcz i kobieta „wzięli biskupa na przeczekanie”. Imają doprełożonych kapłana żal i pretensje, że nie rozwiązywali skutecznie problemu.

Jak wyglądały ich spotkania z biskupem w Kurii Diecezjalnej Toruńskiej? Po pierwsze, uczciwie trzeba oddać, że za każdym razem poświęcono im dużo czasu i uwagi. Po drugie, że z ust biskupa kilkakrotnie padły słowa o tym, że ksiądz dostał konkretne zalecenia w celu uzdrowienia relacji z panią X. i parafianami. Po trzecie wreszcie, że

przy którymś z kolejnych spotkań biskupa miała już prawo rozboleć głowa od poziomu emocji... Starał się je tonować.

Skarżący się parafianie, szczególnie już po tym, jak otrzymali pismo od prawnika proboszcza, zaczęli naciskać na przeniesienie go do innej parafii.

- „Gdzie mam go przenieść w środku roku? Do (tu: nazwa wsi poza Toruniem)? Przecież tam pani X. też dojedzie” - takie mniej więcej słowa usłyszeliśmy - relacjonują.

Biskup starał się wytłumaczyć wiernym, w jakim położeniu jest także sam ksiądz. Nie krył, że od niego słyszał o złym stanie psychicznym mającym być skutkiem wywołania tematu. Proboszcz czuł się przez grupkę parafian wręcz śledzony, monitorowany, stalkowany. Wchodzenia z wiernymi na drogę sądową przełożony mu jednak nie zalecał, tak samo jak i im.

Generalnie liczył chyba na to, że po zwolnieniu z kuchni „konfliktogennej pani X.” obie strony (proboszcz i skarżący się) dadzą sobie przestrzeń, czas, uspokoją emocje i w przyszłości poprawnie przynajmniej ułożą stosunki. Padły też często słowa o tym, by „podejść ewangelicznie”, mieć dla siebie wzajemną wyrozumiałość - tak to wynika z relacji parafian.

Nasza redakcja o sytuacji w parafii i kroki, które przedsięwzięła Kuria Diecezjalna Toruńska zapytała jej rzecznika. - Informuję, że wyjaśnienia księdza proboszcza dotyczące tej sytuacji są zgodne z prawdą i wystarczające. A w trosce o dobra osobiste osób, o których mowa w artykule nie będę wypowiadał się w tej sprawie - przekazał nam drogą mailową ks. Paweł Borowski.

Internetowa opinia publiczna: „Dajcie chłopu spokój!”

„Celibat powinien być zniesiony. Tyle w temacie” - spośród blisko trzystu komentarzy, które pojawiły się pod naszą pierwszą publikacją, ten krótki i zwięzły - zebrał błyskawicznie ponad setkę polubień. O czym to świadczy? Przynajmniej o podejściu naszych internautów do podobnych spraw jak ta opisywana.

„Lepsza baba niż ministrant”, „Prawosławni od dawna nie mają z tym problemu”, „Dajcie chłopu spokój”, „Ewangelicy mają szczęśliwe rodziny” - komentarze w tym tonie dominują.

Widać wyraźnie, że zarówno ludzie dobrze znający realia opisywanej parafii oraz bohaterów tej historii, jak i ci niezający sprawy, skłonni są proboszcza rozgrzeszyć. Oczywiście, pod warunkiem, że w ogóle jest z czego - wszak on sam zapewnia przecież, że ten rzekomy romans to pomówienie. ©©

ZWIĄZKI JEDNOPŁCIOWE. KWESTIA GODNOŚCI I PRAW CZŁOWIEKA

Transkrypcja aktu małżeństwa to szansa na normalność dla par jedнопłciowych, które związek małżeński zawarły za granicą. Prawda jest jednak taka, że w Polsce małżeństwa jedнопłciowe i związki partnerskie wciąż nie mają zbyt wielu praw. Uznanie ślubu zawartego za granicą tego faktu nie zmienia

Dorota Kowalska

To był dla nich wyjątkowy dzień. W poniedziałek, 18 maja, w Urzędzie Stanu Cywilnego we Wrocławiu pierwsza para gejów w tym mieście dokonała transkrypcji aktu małżeństwa. Ryszard Ziobro i Tomasz Kwietko-Bębnowski są razem od 50 lat. Ślub wzięli rok temu w Wiedniu. Po wyroku TSUE złożyli wniosek o transkrypcję zagranicznego aktu małżeństwa i uzyskali ją bez konieczności prowadzenia sprawy sądowej.

- Zrobiliśmy to, żeby wszyscy obywatele i obywatelki w tym kraju byli równi. Żeby nie było segregacji, że są lepsi ludzie i gorsi ludzie. My jesteśmy ze sobą pół wieku, prawie pięćdziesiąt lat. Od złożenia wniosku trochę to trwało, ale dzięki życzliwości urzędników i wykorzystaniu możliwości, czyli praw, które przysługują obywatelom w Polsce, uzyskaliśmy to bez pomocy sądu - mówił Tomasz Kwietko-Bębnowski.

Transkrypcja aktu małżeństwa Ryszarda Ziobry i Tomasza Kwietko-Bębnowskiego jest drugą w Polsce i uzyskaną bez wyroku sądowego. Urząd Stanu Cywilnego we Wrocławiu dokonał jej na podstawie precedensu ustalonego w Warszawie. Tam podobna transkrypcja została przeprowadzona po pozytywnym orzeczeniu Naczelnego Sądu Administracyjnego, wydanym po wyroku Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. W Warszawie 14 maja dokument odebrali Jakub i Mateusz Cupriak-Trojanowie, para, która wywalczyła przełomowe wyroki w Luksemburgu i w NSA.

- Dzisiaj rano dokonaliśmy pierwszej transkrypcji aktu małżeństwa jedнопłciowego, zgodnie z wyrokami sądów. Tak jak zapowiadałem, bez zwłoki, natychmiast - mówił wówczas prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. - Dokonujemy formy transkrypcji w taki sposób, jaki uznaliśmy za najbardziej stosowny. Po konsultacjach z innymi urzędami stanu cywilnego, ale również moim współpracownikami, którzy rozmawiali z organizacjami,

które walczyły o prawa LGBT. Tak, żeby to było jak najbardziej godnościowe, ale także pełne i szczegółowe - podkreślił Trzaskowski.

Trzaskowski dodał, że kwestię ujednolici przysługę rozporządzenie rządowe, które ma sprawić, że transkrypcje w całym kraju będą przeprowadzane w identyczny sposób.

- Czekaliśmy na wyroki polskich sądów, które potwierdziły tę linię i wyjaśniły sporo wątpliwości i pytań. Mamy orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej i polskich sądów i ja będę wykonywał te orzeczenia. Natomiast liczę na to, że rozporządzenie, które przygotował rząd, wejdzie w życie jak najszybciej - mówił prezydent Warszawy.

Wszystkie dotychczas zawieszone wnioski zostaną odwołane. Pary, którym wcześniej odmówiono transkrypcji, mogą złożyć wniosek ponownie.

Przypomnijmy, w listopadzie 2025 roku Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej zobowiązał Polskę do uznawania małżeństw osób tej samej płci zawartych legalnie w innych krajach UE - nawet jeśli polskie prawo takich związków nie przewiduje. W marcu 2026 roku Naczelny Sąd Administracyjny powołał się na ten wyrok, nakazując transkrypcję aktu małżeństwa Jakuba i Mateusza Cupriak-Trojanów, zawartego w Berlinie w 2018 roku. Od tamtej pory NSA nakazał transkrypcję aktów łączących siedmiu par jedнопłciowych.

To dopiero początek

Ryszard Ziobro i Tomasz Kwietko-Bębnowski czekali na ten dzień wiele lat.

- Czy nasz związek komuś zagraża? Nikomu - pytał retorycznie Ryszard Ziobro.

Ziobro zakłada, że wszystkie prawa przysługujące małżeństwom będą teraz stosowane również wobec nich. Chodzi chociażby o dostęp do informacji medycznej, dziedziczenie czy prawo do odmowy zeznań przeciwko sobie w sprawach karnych.

- Jest to dosyć nowa sytuacja dla tego kraju. Nowa sytuacja dla różnych urzędów. Myślę, że dzięki temu nie będzie już potrzeby wybierania drogi sądowej, żeby uzyskać uprawnienia, które po prostu obywatelom się należą - dodali wspólnie Ryszard Ziobro i Tomasz Kwietko-Bębnowski.

Transkrypcja aktu małżeństwa Ryszarda Ziobry i Tomasza Kwietko-Bębnowskiego to nie tylko przełom dla nich samych, ale - jak podkreślają aktywiści - także sygnał, że Polska wchodzi w nowy etap stosowania prawa wobec par jedнопłciowych.

- To moment, na który środowisko LGBT czekało od lat. Otwiera drogę dla kolejnych par. Każda para jedнопłciowa może pojechać za granicę, zawrzeć ślub w Görlitz, Berlinie czy Danii, wrócić i zarejestrować go w Polsce. W tym momencie mamy faktycznie małżeństwa jedнопłciowe w Polsce - mówi Linus Lewandowski z Homokommando.

Jak zapowiadają aktywiści, to dopiero początek.

- Związków partnerskich nie ma na stole. Jest jakiś projekt „wspólnego pożycia”, czy „o statusie osoby najbliższej”, umowa o nie wiadomo czym. To nas nie interesuje. Śluby też wywalczymy. Myślę, że dwa, trzy, może pięć lat w sądach i będziemy mieć możliwość zawierania ślubów w Polsce. A póki co - polecam parom wyjazd za granicę i niebawienie się w półśrodki - dodaje Lewandowski.

Szacuje się, że na transkrypcję zagranicznego aktu małżeństwa par tej samej płci czeka w Polsce około 1000 par. W samym tylko krakowskim Urzędzie Stanu Cywilnego złożono 13 takich wniosków, a we Wrocławiu - cztery.

Pełnomocniczka rządu ds. równości Katarzyna Kotuła poinformowała, że prace nad rozporządzeniem regulującym wzory aktów stanu cywilnego, które umożliwi systemową realizację transkrypcji, ruszyły w listopadzie 2025 roku, bezpośrednio po wyroku TSUE, ale wprowadzenie zmian w wymaga jednak czasu.

Pary nie czekają

Problem par jedнопłciowych i związków partnerskich wrócił, ale tak naprawdę nie mogło być inaczej.

- Chciałbym przeprosić tych wszystkich, którzy przez długie lata czuli się odrzucani i upokarzani. Państwo tu przez wiele lat nie zdawało egzaminu. Mam nadzieję, że po wyroku trybunału i Naczelnego Sądu Administracyjnego także w parlamencie znajdziemy szybkie, konieczne, dodatkowe rozwiązania o charakterze ustawowym - powiedział przed rozpoczęciem posiedzenia rządu Donald Tusk. I zwrócił uwagę, iż temat ten „od wielu dni jest w centrum uwagi opinii publicznej”.

- Ciągłe nie mamy regulacji prawnych na poziomie ustawowym, które by wyjaśniały status osób, które zdecydowały się na stały związek jedнопłciowy - mówił Tusk.

I dodał, że sprawa wiąże się z dwoma kluczowymi kwestiami. Po pierwsze chodzi o „praworządność i przestrzeganie prawa”.

- Zobowiązaliśmy się i będę tego też osobiście pilnował, aby przestrzegać wyroków zarówno trybunałów europejskich, jak i polskich sądów w pierwszym rzędzie. Jest to więc kwestia praworządności - wyjaśnił.

Po drugie, zdaniem Tuska, związki jedнопłciowe to także „kwestia godności i praw człowieka”.

- W Polsce są różne poglądy na temat związków jedнопłciowych. Motywowany tradycją, wyznaniem wiary, doświadczeniem, poglądami politycznymi. Także na tej sali różniły się w tej kwestii swoimi poglądami, opiniami. Ale w jednej sprawie przynajmniej my nie możemy się różnić, to jest kwestia godności człowieka, prawa do szczęścia, prawa do równego traktowania przez państwo - tłumaczył Donald Tusk.

I zaapelował do ministrów, aby „szanować godność każdego człowieka i żeby pamiętać o tym, że ci ludzie żyją wokół nas, obok nas, wśród nas i zasługują na takie same uczucia szacunku, godności, na miłość, tak jak każdy inny człowiek”.

Premier zobowiązał przy tym ministra cyfryzacji Krzysztofa Gawkowskiego i ministra spraw wewnętrznych i administracji Marcina Kierwińskiego do „pilnego, jak najszybszego ustalenia treści rozporządzenia”.

- Parlamentarzystów wzywam do jak najszybszej pracy tam, gdzie ustawy będą niezbędne, aby opisać konsekwencje tej decyzji - dodał.

13 maja wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski podpisał projekt rozporządzenia w sprawie wzorów dokumentów stanu cywilnego. Docelowo formularz aktu małżeństwa ma mieć trzy warianty: dla par kobieta-mężczyzna, kobieta-kobieta i mężczyzna-mężczyzna. Swoją podpis zapowiedział też szef MSWiA Marcin Kierwiński, ale techniczne dostosowanie systemów potrwa około trzech miesięcy, więc pewnie przepisy zaczną obowiązywać jesienią.

Do tego czasu urzędy stosują rozwiązanie tymczasowe: dane jednej z osób wpisuje się w rubrykę przewidzianą dla przeciwnej płci. W ten sposób wpisano do systemu Trojanów i według tego samego szablonu działają Warszawa oraz Wrocław. Tę samą procedurę zastosuje również Kraków wobec par, które nie zdecydowały się czekać na nowy formularz.

Walka o związki partnerskie

Prawda jest jednak taka, że małżeństwa jedнопłciowe i związki partnerskie pozostają w Polsce nielegalne. Transkrypcja nie zmienia tego stanu prawnego, dotyczy bowiem wyłącznie uznawania związków zawartych za granicą. Tymczasem kwestia uregulowania sytuacji osób pozostających w nieformalnych związkach była jedną z kluczowych dla koalicji 15 października.

- Ustawa o związkach partnerskich to priorytet na pierwsze 100 dni po wyborach - zapowiedział Donald Tusk w kampanii wyborczej. Postulat ten znalazł się także w oficjalnym programie Koalicji Obywatelskiej w „100 konkretach na pierwsze 100 dni rządów”.

Co więcej, Polacy w zdecydowanej większości domagają się uregulowania tych kwestii. Jak wynika z sondażu Opinia24 dla „Faktów” TVN i TVN24, ponad połowa z nas opowiada się za wprowadzeniem związków partnerskich. Sprzeciw wobec tego pomysłu wyraża co trzeci badany.

Uczestnikom sondażu zadano pytanie: „Czy jest Pan(i) za czy przeciw wprowadzeniu związków partnerskich w Polsce?”. 54 procent ankietowanych stwierdziło, że jest „za”. 34 procent badanych stwierdziło, że jest „przeciw” wprowadzeniu związków partnerskich w Polsce, a 12 procent odpowiedziało: „nie wiem/trudno powiedzieć/odmowa”.

Wyborcy mogli czuć się zniecierpliwieni, tym bardziej że sprawa uregulowania sytuacji związków partnerskich ciągnie się latami. W październiku 2024 roku, na Rządowym Centrum Legislacji zostały opublikowane dwa projekty ustaw. Pierwszy był projektem właściwym o rejestrowanych związkach partnerskich. Drugi - ustawą wprowadzającą, która miała dostosować przepisy innych ustaw do nowego prawa.

„Projekty ustaw o rejestrowanych związkach partnerskich, które były omawiane z organizacjami pozarządowymi, zostały

DOCELOWO FORMULARZ AKTU MAŁŻEŃSTWA MA MIEĆ TRZY WARIANTY: DLA PAR KOBIETA-MĘŻCZYŻNA, KOBIETA-KOBIETA I MĘŻCZYŻNA-MĘŻCZYŻNA.



Ryszard Ziobro i Tomasz Kwietko-Bębnowski czekali na ten dzień wiele lat. I postanowili się nie ukrywać. – Czy nasz związek komuś zagraża? Nikomu – pytał retorycznie jeden z partnerów

skierowane do konsultacji publicznych i międzyresortowych. To dla mnie bardzo ważny dzień, bo w Wasze ręce oddaję efekt wielu miesięcy pracy całego naszego zespołu” – napisała wówczas na platformie X minister ds. równości Katarzyna Kotula. I dalej: „Tym samym kontynuujemy proces legislacyjny, który jeszcze nie miał w Polsce miejsca i który mamy nadzieję zakończy się wprowadzeniem do polskiego prawa nowej instytucji. To nowy rozdział w długim marszu po równość, który dzięki wieloletniej pracy wielu organizacji LGBT i społeczeństwa obywatelskiego doprowadził nas do tego historycznego momentu”.

Potem, na specjalnie zwołanej konferencji prasowej, minister Kotula stwierdziła, że proponowane projekty „zmieniają właściwie ponad 250 innych ustaw”, po raz pierwszy wprowadzając do polskiego prawa instytucję rejestrowanego związku partnerskiego.

Przygotowany przez nią projekt przewidywał m.in. rejestrację związków partnerskiego w urzędzie stanu cywilnego, możliwość przyjęcia wspólnego nazwiska, dostęp do informacji medycznej, kwestie prawa do decyzji o pochówku, dziedziczenia, wspólność majątkowa, która jest deklaracyjna i umożliwia wspólne rozliczanie podatków.

Zapisy wprowadzały również tzw. małą pieczę.

– Nie ma tam przysposobienia dzieci – podkreślała minister

Kotula, przypominając, że to była jedna z kwestii, „które były sporne od początku w koalicji 15 października i na które nie zgadzało się Polskie Stronnictwo Ludowe”. – Tu faktycznie zrobiliśmy taki krok do tyłu, krok kompromisowy i zdecydowaliśmy się na zapisy tylko o małej pieczy. Właściwie są to rozwiązania, które głównie będą służyły tak zwanym rodzinom zrekonstruowanym w parach hetero, kiedy mamy dwa małżeństwa, które się rozwodzą i ci ludzie zabierają ze sobą dzieci, żyją w związku nieformalnym – dodała.

Dokument zakładał, że „osoba w związku partnerskim jest uprawniona do uczestniczenia w sprawowaniu bieżącej pieczy nad wspólnie z nim przebywającym dzieckiem pozostającym pod władzą rodzicielską drugiej z osób w związku partnerskim i jego wychowaniu”.

Z kolei projekt ustawy wprowadzającej związki partnerskie zawierał zmiany w ponad dwustu obowiązujących obecnie ustawach, m.in. ustawie Prawo o aktach stanu cywilnego, ustawie o podatku od spadków i darowizn, a nawet ustawie o Policji, Straży Granicznej i Państwowej Straży Pożarnej. Zmienia się także obowiązujące regulacje podatkowe, ustawy dotyczące świadczeń opieki zdrowotnej, czy pomocy społecznej. Chodzi o uwzględnienie w definicjach rodziny osób w związku partnerskim oraz osób, z którymi rodzic dziecka pozostaje w związku partnerskim.

Wreszcie konsensus

Projekt był, przyszedł czas na koalicyjne uzgodnienia i oczekiwany konsensus. Za byli posłowie Lewicy, Koalicji Obywatelskiej, większość posłów Trzeciej Drogi. Inaczej sprawa wygląda z ludowcami. Marek Sawicki z PSL-u od początku podkreślał, że opublikowane na RCL-u projekty nie są projektami rządowymi, a dokumentami przygotowanymi przez minister Kotulę.

Dopytywano o to, co w takim razie z projektem, który przygotowuje PSL – o statusie osoby najbliższej, który miał być odpowiedzią na projekt o związkach partnerskich, poseł Stronnictwa odparł, że tym zajmuje się posłanka Urszula Pasławska.

– PSL będzie miał odpowiedź na ten projekt i w najbliższym czasie dokończy swój projekt o statusie osoby bliskiej – zapowiedziała wówczas Pasławska.

Podkreśliła, że również w jej partii jest duża determinacja w sprawie uregulowania kwestii związków partnerskich i to dobrze, że prace przyspieszyły, aby „poprawić życie prawie pół miliona Polaków”.

Bo trzeba pamiętać o tym, że ludowcy już raz „przyblokowali” ustawę o związkach partnerskich, nie godząc się na kwestię przysposobienia dzieci i zrównania statusem związków z małżeństwami (sprzeciwiali się choćby podobnej do małżeńskiej ceremonii zawarcia związku partnerskiego w Urzędzie Stanu Cywilnego).

Koniec końców, ustawa o związkach partnerskich i ustawa wprowadzająca związki partnerskie, choć zostały opublikowane na stronach Rządowego Centrum Legislacji, nie zostały poddane pod głosowanie Rady Ministrów. W czerwcu 2025 roku klub Lewicy złożył do Sejmu te projekty jako poselskie. Z kolei PSL przygotowało alternatywny projekt o statusie osoby najbliższej.

Wreszcie koalicjanci się dogadali i uzgodnili wspólny dokument. Co ciekawe, posłowie Lewicy mówili, że PSL zgodziło się na większość ich propozycji. Z kolei ludowcy podkreślali, że wypracowany projekt dotyczy statusu osoby najbliższej i to Lewica zgodziła się na ich postulaty, a projekt Stronnictwa jest wiodący.

Rząd projekt ustawy o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu przyjął w grudniu 2025 roku. Sejm skierował go do dalszych prac w lutym tego roku. Przeciwno odrzuceniu projektu w pierwszym czytaniu zagłosowało 233 posłów – cała Koalicja Obywatelska, Lewica, Polska 2050, Razem, a także większość posłów Polskiego Stronnictwa Ludowego. Za odrzuceniem projektu było 199 posłów i posłanek – w tym 175 z Prawa i Sprawiedliwości, 14 z Konfederacji oraz dwóch posłów PSL: Marek Biernacki i Marek Sawicki. Trzy osoby wstrzymały się od głosu.

Pytanie, co z gotowym projektem, przyjętym przez Sejm,

zrobi prezydent, jeśli znajdzie się na jego biurku.

Karol Nawrocki zapowiedział w wywiadzie dla „Wprost”, że „z całą pewnością nic, co jest quasi-małżeństwem”, nie może liczyć na jego wsparcie. Dodał, że jest gotowy do podpisania ustawy o statusie osoby najbliższej, „nie tylko w kontekście seksualnym, ale też w kontekście relacji pomiędzy ludźmi”.

Urszula Pasławska, wiceprezes PSL i jedna z współautorów projektu, nad którym pracuje Sejm, zapewniała jednak, że „przepisy są kompromisowe, odnoszą się do konkretnych dziedzin życia, które nawet w dyskursie publicznym nie budziły większych wątpliwości, a ona sama będzie się zwracać się do Pałacu Prezydenckiego z otwartością na propozycje i uwagi, bo bardzo ważne jest, żeby te regulacje weszły w życie”.

Daleko w tyle

Na zawieranie zarejestrowanych związków partnerskich, również parom tej samej płci, pozwalają obecnie w Unii Europejskiej: Austria, Belgia, Chorwacja, Cypr, Czechy, Dania, Estonia, Finlandia, Francja, Niemcy, Grecja, Węgry, Irlandia, Włochy, Luksemburg, Malta, Holandia, Słowenia, Hiszpania i Szwecja. W sumie 20 państw.

W wielu z nich pary homoseksualne mogą też zawierać małżeństwa. Holandia zalegalizowała małżeństwa jedno-

płciowe jako pierwsze państwo na świecie.

Pary w tym kraju mogą obecnie wybierać między małżeństwem, związkiem partnerskim (geregistrowany partnerschaft), a umową o wspólnym pożyciu (samenlevingscontract). Małżeństwo i związek partnerski mają niemal identyczne skutki prawne – dotyczą m.in. dziedziczenia, podatków i opieki nad dziećmi. W przypadku par lesbijskich wspólmatka może uzyskać status rodzica po uznaniu dziecka. Od 2018 roku obowiązuje system ograniczonej wspólnoty majątkowej, obejmujący jedynie majątek nabyty po ślubie lub rejestracji związku. Związki zawarte za granicą są w Holandii uznawane, jeśli są zgodne z prawem danego państwa.

W każdym razie Polska jest jednym z nielicznych unijnych państw, w których kwestie związków partnerskich nie są uregulowane. Czy wydarzenia ostatnich dni posuną nas o krok do przodu?

Adwokat Paweł Knut, pełnomocnik małżeństwa Jakuba i Mateusza Cupriak-Trojan uważa, że ustawa o statusie osoby najbliższej z jednej strony jest potrzebna, a z drugiej niewystarczająca – zwłaszcza dla tych par jednopłciowych, które dążą do małżeństwa. Większy sens miałyby kilka lat temu, kiedy nie było jeszcze żadnych perspektyw na uznanie w Polsce małżeństw jednopłciowych zawartych za granicą. Transkrypcja aktu małżeństwa otwiera perspektywę na dużo szerszą ochronę prawną niż status osoby najbliższej. Co za tym idzie, możliwość transkrypcji może być dla par nieheteronormatywnych zachętą do wyjazdów za granicę w celu zawarcia małżeństwa. Sformalizowanie związku i uzyskanie dokumentu potwierdzającego, że są dla siebie osobami najbliższymi, ułatwi im życie w bardzo wielu obszarach.

– Sam zachęcam do tego moich klientów. Podkreślam jednak, że taki wyjazd często jest efektem frustracji lub poczucia niesprawiedliwości. Osoby, z którymi pracuję, mieszkają w Polsce, płacą tu podatki, mają obowiązki, pracują dla swoich społeczności albo dla państwa, a w tej konkretnej sprawie muszą wyjeżdżać za granicę. To inny kraj daje im coś, czego nie daje im własny – Polska. Ich śluby w obcym miejscu, niekiedy także bez towarzystwa najbliższych, to czasem wydarzenia słodko-gorzkie – stwierdził mecenas.

Wygląda jednak na to, że to szansa dla par jednopłciowych, które brak uregulowań w Polsce będą musiały po prostu obchodzić.

Współpraca: Remigiusz Biały, Aneta Kolesińska, PAP

NIE MAJĄ LITOŚCI DLA OGNIĄ! WIELKOPOLSKIE DROMADERY ZRZUCAJĄ WODNE BOMBY I GASZĄ NAJWIĘKSZE POŻARY

Może nie grzeszą urodą, ale nie sposób pomylić ich z innymi. Jednak, co najważniejsze, nie mają litości dla ognia. Dromadery to największa broń leśników do walki z pożarami. Z Krępka pod Piłą zrzucają wodne bomby i gaszą największe pożary. Nawet w Chile

Martin Nowak

Dromadery to pogromcy pożarów. Od dekad wykorzystywane są w pożarnictwie i rolnictwie. Nie tylko gaszą płomienie, ale świetnie sprawdzają się także m.in. w opryskiwaniu lasów przed np. szkodnikami. Ba, w historii świata zapisały się nawet jako samoloty bojowe. Maszyny te zostały użyte jako lekkie bombowce podczas wojny domowej w Chorwacji.

Lotnicze bazy wśród lasów

Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Pile wczesną wiosną rozpoczęła kolejny sezon ochrony przeciwpożarowej, podczas którego kluczową rolę odgrywają właśnie samoloty o żółto-białym ubarwieniu. Dromadery, które od marca do października użytkują leśnicy, należą do firmy Aerogryf ze Szczecina i stacjonują w dwóch bazach lotniczych. Jedna znajduje się w Krępku, w gminie Szydłowo pod Piłą. A druga w Herburtowie, w gminie Wieleń.

Większa i podobno najpiękniejsza w całej Polsce jest Leśna Baza Lotnicza w Krępku, gdzie stacjonują trzy samoloty: dwa Dromadery i jedna Cessna. Została ona otwarta na początku lat 80. Znajduje się w samym środku lasu, gdzie mieści się domek pilotów i długi zielony pas startowy.

W bazie tej pracuje czterech pilotów i jeden mechanik. Od marca do października przez siedem dni w tygodniu pełnią całonocowe dyżury.

- Zawsze na dyżurze musi być trzech pilotów i mechanik - mówi Krzysztof Stasiak, jeden z pilotów.

Cała ekipa to niezwykle profesjonalni, którzy mogą pochwalić się ogromnym doświadczeniem.



Jerzy Pikulski, Krzysztof Stasiak i Piotr Rodek oraz (niewidoczny na zdjęciu) Maciej Lewandowski to piloci z wieloletnim doświadczeniem

Mają oni wypracowany system działania. Podczas akcji stawiają na szybkość i precyzję. - Startujemy w ciągu pięciu minut od zgłoszenia pożaru. W tym czasie tankujemy wodę z hydrantu. Około dwa tysiące litrów wody pompujemy w niecałe dwie minuty. Sam zrzut bomby wodnej w miejsce pożaru trwa natomiast jakieś dwie sekundy. Robimy to przy prędkości 180 km/h - mówi Piotr Rodek, kolejny z pilotów.

Warto dodać, że woda, którą zabierają Dromadery w przestrzeń powietrzną, pochodzi z rzeki.

- Woda pobierana jest z natury i do natury wraca - mówią piloci.

Dromader może zatankować 720 litrów paliwa, co pozwala mu spędzić w powietrzu powyżej 3 godzin. Jeżeli do tego dochodzi jeszcze ładunek w postaci około 2 tysięcy litrów wody, to naprawdę niełatwo jest

latać z taką masą. Nie wszyscy piloci dają sobie z tym radę. - Do takiego samolotu trzeba podejść jak do „Pana Dromadera”, czyli z pełnym szacunkiem. To znaczy, że należy spełnić wszystkie reżimy. Nie można popełnić najmniejszego błędu przy starcie i podczas zrzutu wody, bo każda pomyłka może bardzo źle się skończyć... i dużo kosztować - mówi pilot Krzysztof Stasiak. Ryzyko jest duże, ale cała akcja wygląda bardzo spektakularnie.

Tysiące godzin w powietrzu

Na Dromaderach latają ponad sześć tysięcy godzin, z czego na Dromaderze już powyżej dwóch tysięcy godzin - wylicza Krzysztof Stasiak, który pasję do lotnictwa przejął w genach. Jego ojciec był pilotem.

- Ojciec był pilotem wojskowym. Zaraził mnie tą pasją, ale kontynuuję ją na polu cywilnym. Krzysztof Stasiak ukończył Akademię Rolniczo-Techniczną w Olsztynie na kierunku lotniczym i tak od 1981 roku pracuje w firmach lotniczych. Jego praca dostarcza mu masy przygód. Dzięki niej zwiedził też cały świat. To oczywiście wiązało się z wyjątkowymi misjami. Okazuje się, że pilot Dro-

ma nie ma litości dla ognia. Dromadery to największa broń leśników do walki z pożarami. Z Krępka pod Piłą zrzucają wodne bomby i gaszą największe pożary. Nawet w Chile

Ma nie grzeszą urodą, ale nie sposób pomylić ich z innymi. Jednak, co najważniejsze, nie mają litości dla ognia. Dromadery to największa broń leśników do walki z pożarami. Z Krępka pod Piłą zrzucają wodne bomby i gaszą największe pożary. Nawet w Chile

madera gasił pożary nie tylko w Polsce, ale także m.in. w Ameryce Południowej, i to przez kilka sezonów.

- Największe doświadczenie zdobyłem w Chile, gdzie pożary obejmują 300 lub 500 hektarów ziemi. Podobnie zresztą było w Portugalii, gdzie paliły się np. jednocześnie dwie lub trzy wsie. Podczas tych akcji trzeba było bardzo uważać, bo niebo przypominało wówczas prawdziwy poligon wojskowy. Pełno było na nim Dromaderów i helikopterów...

Wspomina, że podczas akcji w Chile wybrani operatorzy oceniali zrzuty wody każdego pilota. Sprawdzali poprawność ich wykonania, a później wyciągali konsekwencje.

- Gdy pilot dwukrotnie nie trafił w wyznaczone miejsce pożaru, to dziękowano mu za współpracę i kazano wracać do swojego kraju. Każde uchybienie wiązało się bowiem z ogromną stratą materialną - tłumaczy Krzysztof Stasiak, który może pochwalić się niezwykłą precyzją. Ani razu bowiem nie „spudłował” z Dromadera!

Piloci walczą z ogniem jak z największym wrogiem. Koncentrują na nim całą swoją uwagę.

- Rzucam się na pożar jak na przeciwnika, bo wiem, jaką może on wyrządzić krzywdę - mówi Jerzy Pikulski.

To kolejny pilot z Krępka, który pochodzi z Włocławka. Można powiedzieć, że współtworzy on dwie rodziny pilotów. Jedną na szczeblu zawodowym, a drugą na płaszczyźnie czysto prywatnej.

- Moja żona jest pilotem szybowcowym, a syn jest pilotem szybowcowym i samolotowym. Ja sam mam natomiast przeszłość bardziej aeroklubową. Zacząłem się szkolić w 1974 roku. Najpierw latałem na szybowcach, później na samolotach. Byłem instruktorem w aeroklubie włocławskim i startowałem w różnych zawodach, a później byłem też szefem szkolenia. W 2008 roku zatrudniłem się w Aerogryfie, bo spodobało mi się latanie na Dromaderach. I tak przygoda ta trwa już prawie 18 lat - opowiada Jerzy Pikulski.

Jaki pożar najbardziej utknął mu w pamięci? Nie był to pożar lasu.

- Paliło się zboże, a nieopodal znajdował się dom. Wiedziałem, że jak dobrze nie zrzucę wody, to ktoś może stracić dach nad głową.

Uroda dla amatorów

Dromadery to specyficzne pod względem wyglądu samoloty. Takie trochę pokraczne, ale mają swój urok i przyciągają uwagę.

- Dromader to brzydki samolot. Tak brzydki, że aż piękny. Wielu się jednak podoba i każdy chce go zobaczyć,



Uroda Dromaderów jest co najmniej... dyskusyjna. Sami piloci przyznają, że te samoloty są brzydkie, choć niektórzy w ich nieco pokracznej formie dostrzegają specyficzne piękno. Ale najważniejsze jest to, że są trwałe

a co najważniejsze, budzi szacunek - mówi Piotr Rodek, który w lotnictwie pracuje już od 40 lat.

Ukończył Wyższą Oficerską Szkołę Lotniczą i z niejednego pieca chleb jadł.

- Zaczynałem od wojska, później pracowałem w lotnictwie biznesowym i zwiedzałem świat, ale od zawsze chciałem latać na Dromaderze. Teraz spełniam to marzenie.

Ale wygląd to nie wszystko. Ważne, że Dromader jest praktycznie niezniszczalny.

- To wół roboczy. Samolot wymagający, ale naprawdę bardzo mocny i trwały, który od dekad rewelacyjnie sprawdza się nie tylko w pożarnictwie - mówi Andrzej Kasielski, który w bazie leśnej w Krępku pracuje jako mechanik.

To prawdziwa złota rączka, naprawi wszystko. W Krępku pracuje trzeci sezon, a z lotnictwem związany jest od ponad 30 lat.

- Ukończyłem naukę w Lotniczych Zakładach Naukowych we Wrocławiu i od tego czasu cały czas działam. 25 lat spędziłem w Aeroklubie Ziemi Pileckiej. Zaczynałem od latania, a później zrobiłem uprawnienia mechanika i tak ostatnio trafiłem do firmy Aerogryf - mówi Andrzej Kasielski.

To on dba o kondycję i sprawność Dromaderów oraz Cessny, która służy głównie do patrolowania okolicy. Przede wszystkim dba jednak o bezpieczeństwo pilotów.

- Nasze samoloty to jedne z ostatnich egzemplarzy ostatniej serii produkcyjnej z początku lat 90. Od tamtej pory nie są produkowane i jest ich w Polsce jakieś kilkadziesiąt, dlatego traktuję je jak najcenniejsze perełki. Poza tym, muszą być sprawne dla bezpieczeństwa moich kolegów pilotów. Bo tych mamy najlepszych!

Czwartym pilotem w Krępku jest Maciej Lewandowski, który nie pełnił akurat dyżuru podczas naszej wizyty. To także niezwykle doświadczony profesjonalista.

Zawsze na straży

W samych superlatywach o bazie w Krępku i jej załodze wypowiadają się leśnicy. Wiele im zawdzięczają i zawsze mogą na nich liczyć.

- To wyjątkowe miejsce i wyjątkowi ludzie, którzy rzeczywiście nam leśnikom pomagają w codziennej pracy. W momencie, kiedy pojawia się pożar, szybka reakcja jest najważniejsza. To właśnie dzięki nim udaje się strzec pilskich lasów - mówi Rafał Cieślak, rzecznik prasowy Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Pile.

Dodaje, że samoloty cieszą się ogromnym zainteresowaniem w różnych zakątkach świata.

- Dromadery szczególnie zainteresowanie budzą w Stanach Zjednoczonych. To naprawdę wyjątkowe maszyny.



W kabinie samolotu nie ma nic, co nie jest absolutnie niezbędne



Dromadery startują z bazy zaledwie w ciągu pięciu minut od zgłoszenia pożaru

PROF. LEWICKI: NIE ROZUMIEM, DLACZEGO AMERYKANIE TAK POSTĄPILI W SPRAWIE ZIOBRY

–Nie przesądzam, nie mam prawa, o winie czy niewinności byłego ministra, ale wiadomo, że jeżeli toczy się postępowanie sądowe czy prokuratorskie, to człowiek, który ucieka przed tym postępowaniem, przyznaje się pośrednio do winy. Jeżeli rzeczywiście to prawda, że decyzję o przyznaniu wizy Ziobrze i wpuszczeniu go do USA podjął zastępca sekretarza stanu, to jest to nieprawdopodobny polityczny skandal – mówi prof. Zbigniew Lewicki, politolog, amerykańista

Dorota Kowalska

Panie profesorze, trzydziestu amerykańskich lekarzy wydało oświadczenie, w którym wyrażają swoje zaniepokojenie stanem fizycznym i psychicznym Donalda Trumpa. Określają go jako „wyraźne i bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa świata” i apelują o to, żeby usunąć Trumpa z urzędu. Co pan o tym myśli?

Dwie sprawy. Po pierwsze, jest absolutnym skandalem - amerykańskie stowarzyszenie psychiatrów wydało w tej kwestii oświadczenie - by lekarz wypowiadał się o pacjencie, którego nie zbadał, nie widział i nic na jego temat nie wie, poza tym, co czyta w gazetach. To jest absolutnie nieprofesjonalne! Po drugie, w Stanach Zjednoczonych jest około miliona lekarzy i zawsze znajdzie się trzydziestu nieodpowiedzialnych, niemądrych, przeciwników Trumpa, bo o to bardzo łatwo, którzy będą chcieli zabytnąć w opinii publicznej swoim „bezkompromisowym sądem”. To jest bezwartościowe i stanowi zaprzeczenie etyki lekarskiej.

Tylko o stanie psychicznym Donalda Trumpa mówi się od dawna. Z czego to się bierze, pana zdaniem?

Wie pani, mówić można. Trump jest ulubionym chłopcem do bicia dla amerykańskich elit, szczególnie tzw. li-

beralnych, po naszymu lewicowych. Oni wykorzystają każdą kwestię albo ją tworzą, jeżeli jej nie ma, by wykazać, że Trump się na urząd prezydenta nie nadaje, że jest chory. Oczywiście on ma swoje lata i mogą mu się zdarzyć przeżyczenia albo fizyczne potknięcie, albo cokolwiek innego, ale stąd jest bardzo daleko do stwierdzenia, że nie spełnia zdrowotnych wymogów urzędu. Trzeba pacjenta zbadać, trzeba go poddać rozmaitym testom, potem te testy opublikować, a nie mówić:

„Mnie się wydaje, że on się nie nadaje”. Tak można powiedzieć o każdym. Każdy z nas ma wrogów, o których mniej lub bardziej słusznie mówi: „wariat” albo „dureń”. W tym wypadku tą osobą jest prezydent i jest modne, dobrze biące w towarzystwie, jeżeli się ktoś w ten sposób wypowie, ale to jest skandaliczne. I, jak mówię, amerykańskie stowarzyszenie psychiatrów już dawno, za pierwszej kadencji Trumpa, wydało jednoznaczne stwierdzenie, że nie wolno wydawać diagnoz nie widząc pacjenta i nie badając go.

Zabawię się w adwokata diabła, ale jednak pewna nieprzewidywalność Donalda Trumpa...

Tu pani przerwę. Oczywiście, że tak. Nieprzewidywalność

jest jego taktyką polityczną. Nie on to wymyślił. To wymyślił Monteskiusz, który powiedział bardzo wyraźnie - nie mam cytatu pod ręką - że jeżeli będziesz nieprzewidywalny, to będziesz silniejszy. I tak rzeczywiście jest! Jeżeli nieprzyjacieli, a nawet przyjaceli, nie wie, co chce zrobić, to jestem silniejszy. I to jest jego taktyka, której się nie wstydzi i którą praktykuje od czasu pierwszej kadencji. Przerwałem pani, ale od razu chciałem tę kwestię nieprzewidywalności wyjaśnić.

Myśli pan, że wycofanie tych czterech tysięcy żołnierzy....

Zaraz, zaraz, znowu pani przerwę, ale to w tej chwili już zostało wyjaśnione, prawda? Wiadomo, że to było z góry zaplanowane, że nie chodziło o wycofanie, tylko o wstrzymanie rotacji, że potrzebni byli żołnierze na granicy z Meksykiem i trzeba ich było ściągnąć z Europy. Tylko nasz kochany MON i nasz kochany szef sztabu nie przeczytali tego, co powinni byli przeczytać. Nie przeczytali jawnych informacji z Waszyngtonu, nie wsłuchali się w zeznania w Izbie Reprezentantów i byli zaskoczeni, zwłaszcza własną niewiedzą, własną nieumiejętnością pilnowania spraw w Waszyngtonie. To nie jest wycofanie, to jest wstrzymanie rotacji z powodów wewnętrznych.

Powoli, zaskoczeni byli nawet amerykańscy kongresmeni, bo administracja Trumpa nie uzgodniła tych decyzji z Kongresem, a powinna. Część tych wojsk była już w Polsce, zgadza się pan ze mną?

Tak.

Część transportu była w drodze, więc nie była do przemyślenia i zaplanowana wcześniej decyzja, tylko decyzja podjęta w ostatniej chwili.

Nie do końca. Ta decyzja została podjęta w ostatniej chwili, ale nie wtedy, kiedy myśmy się o niej dowiedzieli, tylko znacznie wcześniej. Została podjęta wskutek tego, że zabrakło żołnierzy na granicy meksykańskiej. To był prawdziwy powód. Ten ruch był zapowiedziany i znany w Waszyngtonie przynajmniej tydzień przed tym, kiedy u nas pojawiły się o tym informacje w gazetach. Także tak, to rzeczywiście były decyzje podjęte pod wpływem okoliczności. Przecież zdarza się, że z jakichś powodów trzeba wzmocnić gdzieś siły wojskowe. To nie miało nic wspólnego z Polską. To po prostu było działanie na potrzeby wewnętrzne.

To skąd to oburzenie kongresmenów? I Republikanów i Demokratów dodajmy.

Z dwóch powodów. Pierwszy jest ten, o którym wspomnia-

łem, że krytyka prezydenta i jego ludzi jest zawsze mile widziana.

Nawet przez Republikanów?

Częściowo tak. Przecież część Republikanów głosowała za tym, żeby Trumpa poddać impeachmentowi. Tam nie ma dyscypliny partyjnej. A po drugie, to kwestia niedoinformowania. Być może chodzi też o to, żeby grać na zdobycie głosów wyborców, bo nie wiem do końca, skąd są ci kongresmeni, którzy się tak wypowiadali. Tymczasem zbliżają się wybory do Kongresu i widocznie kandydujący w nich o powtórny wybór kongresman wykalkulował sobie, że będzie mu się opłacało krytykować Trumpa i „bronić Polski”, bo na jego terenie tak myślą ludzie albo jest wielu Polaków. Tego do końca nie wiem, przyznam.

Kilku republikańskich kongresmenów krytykowało tę decyzję. Wszyscy tak sobie wykalkulowali?

Trzech czy czterech Republikanów, jeśli dobrze pamiętam. Wie pani, tam jest kilkuset kongresmenów, w związku z tym to się zdarza. Powtarzam, w Kongresie nie ma dyscypliny partyjnej, tam każdy walczy o wybór wśród wyborców, nie wchodzi się do Kongresu z list partyjnych.

Ale przyzna pan, że notowania Republikanów lecą w dół?

Nie wiem. Tak wykazują pewne badania opinii publicznej. Prawdziwe notowania będą oczywiście w listopadzie, podczas wyborów. Oczywiście, że Demokraci wygrać te wybory, bo zawsze wygrywa je partia, która nie jest w Białym Domu. Pytanie, z jaką różnicą. I na ile to ich zwycięstwo będzie wielkie, a na ile normalne, takie, jakie się powtarza co kilka lat. Wszyscy doskonale wiemy, jak się robi badania opinii, jak zadaje pytanie. Istnieje mnóstwo sposobów na zapytanie tej samej grupy ludzi w różny sposób, co skutkuje zupełnie innymi rezultatami. Więc owszem, czytam te badania opinii, ale uważam, że to głos wyborcy jest ważny. Głos człowieka, który odpowiada na telefoniczną czy internetową ankietę, to ułamek ważności. To samo bym powiedział, gdyby było więcej głosów na Trumpa, a nie na jego przeciwników.

Co kierowało administracją Trumpa, która zdecydowała się na udzielenie schronienia Zbigniewowi Ziobrze?

To jest coś niebywałego! Czytam informację, którą podała Reuters, że była to decyzja zastępcy sekretarza stanu i muszę powiedzieć, że zaskoczyło mnie to ogromnie. Co więcej, Reuters pisze też, że ta decyzja zastępcy sekretarza stanu została podjęta pod wpływem opinii ambasadora amerykań-

skiego w Warszawie. Jeżeli to jest prawda, to nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Nie przesądzam, nie mam prawa, o winie czy niewinności byłego ministra, ale wiadomo, że jeżeli toczy się postępowanie sądowe czy prokuratorskie, to człowiek, który ucieka przed tym postępowaniem, przyznaje się pośrednio do winy. Więc jeżeli rzeczywiście to prawda, że decyzję podjął zastępca sekretarza stanu, to jest to nieprawdopodobny polityczny skandal. Ciekawe, jak na to zareaguje polski minister spraw zagranicznych, który swego czasu powoływał się, jeśli dobrze pamiętam, na rozmowę z ambasadorem Rose'em na ten temat. Więc ciekawi mnie dalszy rozwój sytuacji, ale to wstrząsająca wiadomość.

Wstrząsająca dlaczego? Bo świadczy o tym, że ktoś się miesza w polskie sprawy?

Tak. Świadczy o tym, że wysoki urzędnik demokratycznego państwa uważa za możliwe udzielenie pomocy osobie, która ucieka przed wymiarem sprawiedliwości, bo to jest ucieczka przed wymiarem sprawiedliwości, nie przesądzając o wyroku sądowym, ale toczy się postępowanie prokuratorskie, śledczy chcą postawić panu Ziobrze dwadzieścia sześć zarzutów. Być może wszystkie zostaną obalone w sądzie, tego nie można wykluczyć, ale dopóki to postępowanie się toczy, to osoba, która nie stawia się u prokuratora i ucieka z jednego kraju do drugiego, do trzeciego, jest uciekinierem przed prawem. I to w amerykańskich realiach tak jest odbierane. Więc nie rozumiem, dlaczego Amerykanie tak postąpili. No chyba że są dodatkowe elementy, których się jakoś tam domyślam, ale o których nie będę mówił.

Ale jakie to argumenty?

To jest domysł i to bardzo daleko idący, kto w Stanach Zjednoczonych mógłby mieć interes pomocy polskiemu ministrowi.

Kto?

Nie będę o tym mówił. Koniec kropka.

Dobrze, wojna z Iranem to porażka Donalda Trumpa?

To nie jest zwycięstwo Ameryki. Nie ma wątpliwości, że amerykańscy wojskowi nie docenili siły militarnej Iranu. Oczywiście Ameryka tego konfliktu nie przegrała i nie może przegrać, ale długotrwały i skuteczny opór Iranu jest zaskoczeniem chyba dla wszystkich i źle świadczy o amerykańskim wywiadzie wojskowym. Nie o samym Trumpie. On przecież musi polegać na tym, co dostaje od ludzi odpowiedzialnych za pewne kwestie. Ale jest to



FOT. PAP/EPRA

Prof. Lewicki: Jak oceniam Trumpa? Jeśli chodzi o tę kadencję, zobaczymy, jak się zakończy konflikt z Iranem, bo to jest kluczowa sprawa

porażka administracji, wizerunkowa na pewno. A militarnie „niezwycięstwo”, jeśli mogę tak to określić.

Kto Trumpa namówił na tę wojnę? Benjamin Netanjahu?

Netanjahu na pewno do tego dążył, ponieważ Izrael ma prawo czuć się zagrożony przez fakt, że Iran konstruuje bombę atomową. Skoro takie państwo jak Iran, które ma ropę, nie potrzebuje energii jądrowej, poświęca tyle czasu i tyle pieniędzy na oczyszczanie uranu, żeby stworzyć bombę atomową, to tylko po to, by jej użyć. Przeciwno komu może tej broni użyć? Przeciwno Arabii Saudyjskiej bądź przeciwko Izraelowi. W związku z tym w interesie Izraela leży niedopuszczenie do tego, by Iran tę bombę ostatecznie stworzył. Zresztą powiem szczerze, też czuję się bezpieczniejszy jako mieszkaniec Ziemi, jeżeli Iran nie ma bomby atomowej, ponieważ, powtarzam, on byłby zdolny jej użyć. Chiny nie, Indie nie, Pakistan nie. To są odpowiedzialne państwa. Iran jest pań-

stwem chaotycznie zarządzanym. W związku z tym ktoś mógłby taką decyzję podjąć. A jak użyto by pierwszej bomby atomowej, to następnych użyto by chwilę później.

Kto jeszcze oprócz Netanjahu mógł wpływać w tej kwestii na Donalda Trumpa?

Myszę, że w Stanach Zjednoczonych jest bardzo silne lobby proizraelskie, które wychodzi z tych samych założeń. Tym bardziej że Izrael parł do interwencji. Przecież to nie jest pierwsza interwencja w Iranie, jeśli chodzi o instalacje atomowe. Już wcześniej był i atak z powietrza, i atak wirusem, więc rozmaite kroki w tym kierunku były już podejmowane. Na pewno istnieje duża grupa strategów z jednej strony, a sympatyków Izraela z drugiej, którzy z różnych powodów myślał, że nie można pozwolić Iranowi na to, by zbudował i mógł użyć broni atomowej.

Tylko wszyscy odczuwamy skutki tej wojny. Blokada cieśniny Ormuz daje nam się we znaki.

Odczuwalibyśmy mocniej, gdyby Iran miał i użył broni atomową, prawda?

Do tej pory nie użył.

Bo nie miał jeszcze tej bomby. Czasami tego typu działanie wyprzedzające jest bardzo potrzebne i skuteczne. Nie chcę daleko sięgać, ale gdyby w 1939 roku Wielka Brytania i Francja uderzyły na Hitlera, zanim on uderzył na Francję, to też wszystko potoczyłoby się inaczej. Nie zawsze trzeba czekać, aż ta druga strona, która zagraża pokojowi, zrealizuje swoje pomysły. Istnieje pojęcie wojny wyprzedzającej, które jest uzasadnione właśnie tym, że trzeba czasami nie dopuścić do pierwszego ataku.

Strefa Gazy to, pana zdaniem, sprawa zamknięta?

Wydaje mi się, że tak. O przyszłości trudno mówić, ale wydaje mi się, że tak. Tam dochodzi co najwyżej do jakichś incydentalnych ataków. W tej chwili stanie kwestia, która trochę poszła w zapomnienie, to znaczy sprawa odbudowy Strefy Gazy

i kosztów z tym związanych. Przez interwencję w Iranie ta sprawa trochę się odsunęła na dalszy plan, ale wróci. Cały czas mówiłem, że najlepszym sposobem zakończenia konfliktu palestyńsko-izraelskiego jest gwałtowne podniesienie poziomu życia Palestyńczyków. Dużo pieniędzy było tam wpompowanych, dużo pieniędzy Arafat ukradł, ale jeżeli nie ma się nic do stracenia, to wtedy działanie samobójczorozbójnicze jest normalne, natomiast jeżeli ma się dużo do stracenia, jest inaczej. Weźmy układ niemiecko-francuski Alzacja Lotaryngia, prawda? W chwili, kiedy jedna i druga strona może dużo stracić wywołując konflikt, żadna strona go nie wywołuje. To oczywiste. Więc, jeżeli uda się Gazę odbudować, to sądzę, że nie dojdzie do powtórzenia tych wydarzeń, jakie widzieliśmy z jednej albo z drugiej strony, bo z jednej strony był napad, z drugiej strony była zemsta. Jeżeli obie strony będą uważały, że więcej stracą niż zyskają, to ten konflikt się zakończy.

Nie ma pan wrażenia, że po tym, co dzieje się w Strefie Gazy, w Iranie, na świecie rosną nastroje antyizraelskie?

Oczywiście, że tak! Tylko nie można rozgraniczyć, co jest antyizraelskie, a co jest antysemityczne. W tej chwili antysemityzm jest niemodny, więc pojawia się antyizraelizm. Gdzieś ta granica jest zatarta. Nikt nie potrafi powiedzieć, na ile taki czy inny zamach, takie czy inne wystąpienie publiczne jest tylko antyizraelskie, czy także ma element antysemityczny. Ja tego nie wiem, nikt tego nie wie. To też przybiera takie, nierzwykłe, nienormalne formy. Na przykład kwestia głosowania w konkursie Eurowizji. Paranoja kompletna! Obrzuca błotem jurorów za to, że uznali, iż jakaś piosenka izraelska jest dobra czy nawet bardzo dobra. Absurd!

Donald Trump odpuszcza sobie trochę Europę?

Co to znaczy odpuszcza Europę? Jest rozczarowany Starym Kontynentem, tak jak był rozczarowany Europą przez tyle lat polegała i nadal polega na Stanach Zjednoczonych, jeśli chodzi o jej bezpieczeństwo, to ma prawo oczekiwać, że wesprze go tam, gdzie Ameryka potrzebuje wsparcia. Kiedy nastąpił atak w Nowym Jorku 11 września, wszyscy podnosili, że NATO powołało się na artykuł piąty i przyszło z pomocą Bushowi, ale mało kto pamięta, że to zajęło dwa

i pół tygodnia, jeśli nie trzy tygodnie. Tyle trzeba było czasu, żeby NATO zdecydowało się na ofertę pomocy, kiedy nastąpił atak na Stany Zjednoczone. Więc ta nierównowaga jest nieprawdopodobna. Gdyby na nas napadł ktoś zza zachodniej granicy, a Stany Zjednoczone czekały trzy tygodnie z ofertą pomocy, to wiadomo, czym by się to skończyło.

Tak, tylko na Stany Zjednoczone nikt nie napadł, to Donald Trump wypowiedział wojnę Iranowi. Sytuacja jest zupełnie inna.

Zgadza się, ma pani rację, formalnie biorąc Europa mogła powiedzieć Trumpowi: „Przepraszamy bardzo, na drzewo, nie pomożemy”. Mogła. Tyle tylko że to ma konsekwencje. Jeżeli ma pani sojusz z kimś, czy po ludzku mówiąc przyjaźń, i ta druga strona mówi: „Pomóż mi” to czy o przyjaźni świadczy, że pani się zastanawia, a potem mówi: „Pomyślę. Nie, raczej nie”. Nie na tym to polega. Jeżeli oczekuję, żeby ktoś mi pomógł, to sam też muszę pomagać.

Jaki przyjaciel straszy sojuszników ciemni, obrzuca błotem europejskich przywódców? Teraz Donald Trump obraził się nawet na premier Włoch Giorgia'ego Meloni, do niedawna swoją ulubienicę. Na pewno przyjaciel?

A nie pamięta pani ile razy i jak konsekwentnie przywódcy europejscy, europejska opinia publiczna obrażała Trumpa? Od tego zaczęliśmy.

Nie przypominam sobie, żeby jakiś europejski przywódca oficjalnie obraził Donalda Trumpa!

To prawda. Trump jest inny i mówi rzeczy, których inni nie mówią. Ale tak naprawdę, to lekceważenie, czy negatywne komentarze zdarzały się. Może mniej formalnie niż trumpowskie, bo on ma inny styl. Ale wie pani, jeżeli mocarstwo, takie jak Stany Zjednoczone, które przez ponad pół wieku finansowało bezpieczeństwo Europy, prosi o wsparcie, to czy to jest moment, żeby się zastanawiać nad tym, czy tego wsparcia warto, czy nie warto udzielić?

Myśli pan, że Stany Zjednoczone odpuszczają Tajwan?

Nie, absolutnie nie. Gdyby tak się stało, to dopiero byłaby prawdziwa klęska i militarna i wizerunkowa i wszystko inne Stanów Zjednoczonych.

Ale tę ostatnią wizytę Trumpa w Chinach i jeden, i drugi przywódca oceniają bardzo pozytywnie.

Nie wiadomo, co tam się naprawdę działo. Czytam różne komentarze, one są od ściany do ściany. Jedne mówią o wielkim zwycięstwie Xi, drudzy

o wielkim zwycięstwie Trumpa. Nie wiem, co tam się odbywało za zamkniętymi drzwiami. Pomijam już fakt, że inwazja Chin na Tajwan wcale nie byłaby taka oczywista i prosta. Pamiętajmy, że jedyny konflikt wojskowy, jaki w ciągu ostatniego prawie wieku miały Chiny, to było starcie z Wietnamem na tym kawałku granicy. I Wietnam wcale nie przegrał, wręcz przeciwnie, wygrał. My nie wiemy, jaki jest stan armii chińskiej, czy ona jest gotowa do walki, czy jest przyzwyczajona do warunków bojowych. Owszem, jest duża, to prawda, ale to tyle. Nic nie wiemy o ich gotowości wojennej. Tymczasem Tajwan to ogromna wyspa, to nie jest Uznam ani Wolin. To ogromna wyspa z silnym przygotowaniem militarnym, bardzo dobrze uzbrojona w nowoczesną broń. Inwazja Chin wcale nie byłaby taka łatwa. Chiny mówią o tym, ale nie sądzę, żeby zdecydowały się na inwazję.

Jak pan myśli, Donald Trump, uprawiając politykę, kieruje się wartościami, dobrem Amerykanów czy bardziej swoim własnym interesem, patrząc - biznesem?

Przed wszystkim na pewno dobrem Amerykanów. Każdy polityk musi kierować się dobrem swego państwa albo popchnąć zdradę. Polski polityk też musi mówić: „Polska przede wszystkim”, a francuski: „Francja przede wszystkim”. Więc to po pierwsze. Po drugie, pojawiają się informacje, jakoby Trump zarabiał na prezydenturze. Nie wiem, nie znam szczegółów. W historii Stanów Zjednoczonych byli różni prezydenci, byli także prezydenci skorumpowani, byli prezydenci, którzy czerpali osobiste zyski z prezydentury. W związku z czym nie jest to sprawa absolutnie wyjątkowa, jeśli chodzi o historię Stanów Zjednoczonych. Niemniej, trzeba to wykazać, udowodnić, pokazać w sądzie, bo rzucać oskarżenia tak po prostu nie można. To jest niepoważne, co nie znaczy, że to jest niemożliwe. Jak powiedziałem, w historii Stanów Zjednoczonych takie wypadki bywały.

Pan ten czas drugiej kadencji prezydentury Donalda Trumpa ocenia dobrze?

Jeszcze niczego nie ocenię. Dobrze oceniałem pierwszą kadencję Trumpa, jeśli chodzi o politykę zagraniczną. Natomiast jeśli chodzi o tę kadencję, zobaczymy, jak się zakończy konflikt z Iranem, bo to jest kluczowa sprawa. Oczywiście pomoc amerykańska dla Ukrainy też jest bardzo istotna. Ale poczekajmy przynajmniej do połowy tej kadencji, nie spieszymy się z ocenami w jedną lub drugą stronę.

PROF. GUT: CZASEM ŻARTUJĘ, ŻE NA POCZĄTKU ŚWIATA MUSIAŁ BYĆ WIRUS

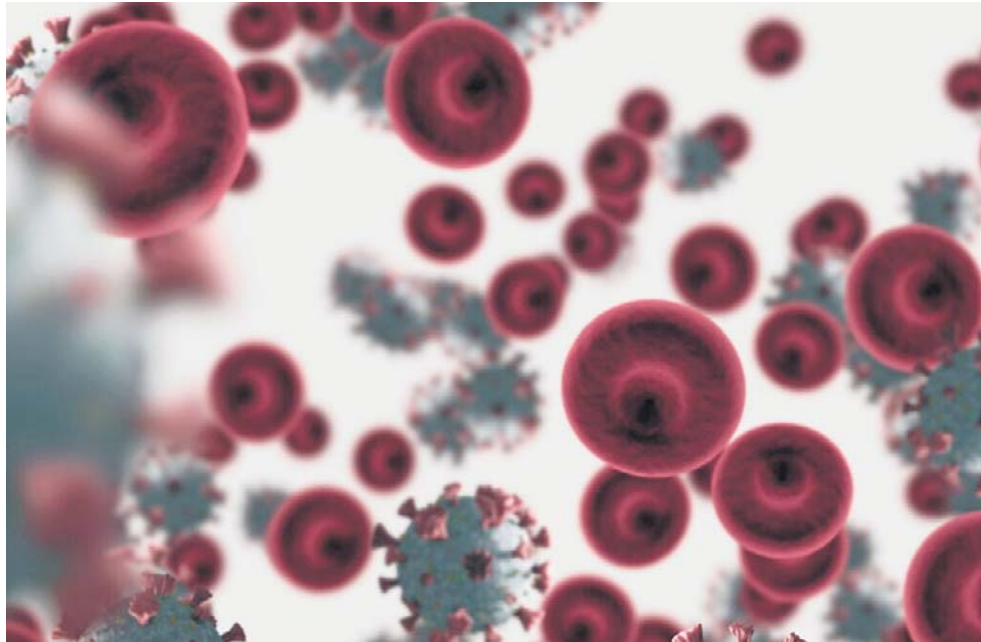
Czy grożą nam nowe epidemie, a mityczny „Wirus X” to kwestia czasu? Choć media regularnie alarmują o pojawieniu się kolejnych egzotycznych zagrożeń, takich jak hantawirusy, rzeczywistość jest zupełnie inna. One były tu na długo przed nami. O tym, dlaczego to człowiek jest głównym motorem napędowym epidemii i dlaczego wirusy „znają nas lepiej niż my je”, rozmawiamy z prof. Włodzimierzem Gutem, specjalistą w zakresie mikrobiologii i wirusologii

Marcin Koziestański

Panie profesorze, ostatnio bardzo głośno zrobiło się o różnych nowych wirusach, czy to hantawirus, czy norowirus. Zastanawiam się, czy one w ogóle są nowe, czy może to zwykły szum medialny, a one były nam znane już dużo wcześniej?

Ja zawsze żartuję, że na początku był wirus, a potem różnicował w zależności od otoczenia. Każdy organizm ma swoje wirusy praktycznie, nawet zdarzają się wirusy wirusów, ale to już rzadkość. Wirusy rozwijają się razem ze swoimi gospodarzami. Musi Pan przyjąć do wiadomości, że czas generacji wirusa jest niesłychanie krótki i to, co dla nas jest miesiącem czy tygodniem, to dla wirusów są tysiąclecia, jeżeli chodzi o ilość generacji. Dlatego są bardzo zmienne, a jeszcze dodatkowo dostosowują się do otoczenia. Jeżeli chodzi o hanta, to mamy dwa rodzaje wirusa, dwie grupy: Starego Świata, które występują praktycznie wszędzie w Europie i wywołują syndrom nerkowy, czyli chorobę nerek. I wirusy Nowego Świata. Tutaj mamy do czynienia z syndromem płucnym w Stanach Zjednoczonych i na południu Ameryki - nowa i sławetny wirus Andes. Tylko jeden jedyny hantawirus wykazał się dotąd umiejętnością przenoszenia się z człowieka na człowieka i był z własnie Andes. Już od dawna wiemy, że taki wirus istnieje, z tym że nie jest to bardzo zakaźny wirus, więc prawdopodobieństwo zarażenia nim nie jest zbyt wysokie i wymaga dłuższego kontaktu. No takiego na przykład jak na wycieczkowcu właśnie.

To dlaczego teraz tak naprawdę dopiero o tym słyszymy? Skoro mówi Pan, że



Prof. Gut: Wirusy nie są nieśmiertelne. Większość z nich ginie już podczas pasteryzacji. Wysoka temperatura i profilaktyka skutecznie je eliminują

ludzką znała te wirusy już od dawna. Dlaczego nagle tak się zrobiło o nich głośno?

Tak naprawdę to one znają nas, a my dopiero je poznajemy, choć badamy je już od wielu lat. W Polsce występują m.in. wirusy Dobrava (od miejscowości w Słowenii, przenoszony przez mysz wielkooką leśną - przyp. red.), Puumala (od miejscowości w Finlandii, przenoszony przez normicę rudą - nie- zwykłe powszechne w Europie) oraz Tula (od miasta Tula w Rosji, przenoszony przez normikę zwyczajnego) - czyli praktycznie wszystkie najważniejsze europejskie gatunki. Ich głównym rezerwuarem są małe gryzonie, które wydają wirusa m.in. z moczem, zanieczyszczając środowisko. Człowiek zakaża się zazwyczaj przez przypadek, trafiając na takie skażone miejsca. Oficjalne statystyki pokazują

obecność tych wirusów głównie w rejonie Podkarpacia i Rzeszowa, stąd liczba potwierdzonych przypadków w skali kraju wydaje się niewielka. Prawdopodobnie jednak hantawirusy są obecne w całej Polsce, tylko brakuje powszechnej diagnostyki. Co ciekawe, wirus Dobrava, choć geograficznie kojarzy się z południem Europy, występuje u nas również na północy kraju. Z kolei Puumala - powodująca zwykle lżejszy przebieg choroby - jest powszechna na terenie niemal całej Europy.

Czy są jeszcze wirusy, których nie znamy?

Na pewno. Od czasu do czasu jakiś nowy się trafia, zostaje odkryty, wywołuje jakąś lokalną czy nielokalną epidemię. Czy Pan myśli, że Covid powstał dopiero w 2019 roku? Nie, ten wirus już był - krążył w populacji

zwierząt i w końcu trafił na człowieka. Mówiąc uczciwie, pierwsza reakcja na świecie była taka, że to po prostu grypa. I tak też zachowano się w Wuhan. Ślepo wierzono, że źródłem jest tylko zwierzę, a dynamika zakażeń wskazywała na to, że na targowisko trafił już człowiek, który tego wirusa po prostu rozniósł. Na szczęście Covid dość szybko zidentyfikowano. Dzisiaj mamy tę przewagę, że dysponujemy metodami pozwalającymi na błyskawiczną identyfikację patogenów - pod jednym warunkiem: że w ogóle pomyślimy o danej grupie wirusów. Kolejnym przykładem są norowirusy, odpowiedzialne za tzw. gripę jelitową. One również towarzyszą nam od dawna. Wystarczy drobne zaniedbanie w kwestii higieny, by wirus błyskawicznie się rozprzestrzenił i doprowadził

do wybuchu nowego ogniska epidemicznego.

A czy klimatyzacja przyczynia się do szybszego rozprzestrzeniania się tych wirusów? Powinniśmy unikać klimatyzowanych pomieszczeń i biur, czy może to nie ma większego wpływu?

To nie do końca tak. Problem leży gdzieś indziej. Wirus to specyficzny twór - poza żywym organizmem, poza komórką, jest w zasadzie martwą strukturą. Dlatego czasem żartuję, że na początku świata musiał być wirus. Dopiero gdy trafi na odpowiedni organizm i komórki, które są w stanie go namnożyć, zaczyna działać. A my ludzie jesteśmy po prostu „włóczykami” i łazęgami - bez przerwy się przemieszczamy, zachowujemy się niefrasobliwie w różnych środowiskach i w ten sposób sami roznosimy patogeny. Teraz na przykład trwa wielkie straszenie „wirusem X” - nikt nie wie, czym on dokładnie będzie, ale każdy już snuje teorie, jak bardzo będzie zaraźliwy.

No dobrze, ale wracając do zamkniętych przestrzeni...

Kluczem jest nasza mobilność i biologia wirusa. Pamiętajmy, że w większości przypadków objawy choroby to już reakcja obronna naszego organizmu, a nie sam moment zakażenia. Cechą wirusów jest to, że faza najwyższej zakaźności wyprzedza objawy chorobowe. Oznacza to, że człowiek, który rozniósł wirusa, zazwyczaj jeszcze o tym nie wie. Jeśli z taką nieświadomą osobą wchodzimy w określone środowiska - czy to będą biura, czy inne skupiska ludzkie - drastycznie podnosimy ryzyko zakażenia i transmisji. A ponieważ jako populacja jesteśmy niezwykle ruchliwi, konsekwencje są łatwe do przewidzenia. Klimatyzacja może najwyżej ułatwić cyrkulację powietrza, ale to człowiek jest tu głównym wektorem.

To w jaki sposób możemy się przed tymi wszystkimi wirusami na świecie ochronić? Coś w ogóle możemy zrobić?

Musimy przede wszystkim wyrobić w sobie świadomość, że nowe środowisko oznacza ekspozycję na nowe wirusy. To punkt wyjścia. Kiedy wchodzimy w nieznane otoczenie, naszą jedyną skuteczną tarczą jest przestrzeganie zasad bezpieczeństwa. Wirus nie ma skrzydełek, nie przeleci sam z jednego końca kraju na drugi. Potrzebuje do tego nosiciela, którym jest człowiek przemieszczający się i wchodzący w interakcję z innymi. Pod tym względem najtrudniej ustrzec się przed wirusami przenoszonymi drogą kropelkową, ponieważ zaczynamy je rozsiewać, zanim w ogóle pojawiają się u nas pierwsze objawy choroby. Wydaliśmy je przez układ oddechowy i tą samą drogą zakażają

się kolejne osoby. Nieco inaczej wygląda sytuacja z wirusami jelitowymi - w ich przypadku barierą nie do przejścia są twarde reguły higieny. Wirusy nie są nieśmiertelne. Większość z nich ginie już podczas pasteryzacji. Choć niektóre szczepy wykazują wyższą termotolerancję, to wysoka temperatura i odpowiednia profilaktyka skutecznie je eliminują.

Czyli co powinniśmy zrobić w takim razie?

Gdziekolwiek jesteśmy, powinniśmy unikać bliskich kontaktów, jeżeli tylko się da. Warto też korzystać z jedzenia, które zostało odpowiednio przygotowane termicznie. A kiedy widzimy kogoś, kto kicha... Cóż, w zasadzie to ten, kto kicha, powinien nałożyć maseczkę, żeby ustrzec innych. Ale to, jak wiadać, wciąż chyba zbyt duże wymagania wobec nas.

No tak. Dzisiaj ludzie nie chcą już nosić maseczek, po prostu im się one znudziły.

Cóż, w laboratoriach wciąż są one absolutną koniecznością. Przy ostatniej głośniejszej sytuacji z hantawirusem wspomniano nawet o tym, że niewłaściwe zachowanie personelu spowodowało zakażenie. Czyli to oznacza, że nawet osoby, które mają doświadczenie i które wiedzą, nie zawsze z tej wiedzy korzystają.

Czyli, mówiąc wprost, ktoś na kogoś nakichał.

To bardzo prawdopodobne. W przypadku wielu tych patogenów do zakażenia wymagana jest albo dość masowna dawka wirusa, albo naprawdę długotrwały kontakt. Dlatego często żartuję, że idealnym miejscem dla nich jest statek wycieczkowy - ludzie kręcą się tam bez przerwy blisko siebie, więc szanse na stworzenie potężnego ogniska są ogromne. Wystarczy, że trafi się ten jeden, pierwszy chory.

To może rozwiązaniem jest powrót do izolacji? Powinniśmy znowu zamknąć się w domach?

Niekoniecznie, nie popadajmy znów w paranoję. Nie słyszałem jeszcze o nikim, kto zaraziłby się wirusem, spacerując po lesie. Chyba że akurat trafi na wściekłego zwierzę - ale to już zupełnie inne ryzyko.

CV

Prof. Włodzimierz Gut
Biolog, specjalista w zakresie mikrobiologii i wirusologii, pracownik naukowy Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego - Państwowego Zakładu Higieny. Przedstawiciel Polski w Międzynarodowym Komitecie Taksonomii Wirusów.

BALLADA O JACKU ZEJDLERZE, SERIALOWYM TOLKU BANANIE

Jacek Zejdler nie żyje już blisko pięćdziesiąt lat. Był łodzianinem. Dla wielu osób pozostał niezapomnianym Tolkiem Bananem, bohaterem popularnego serialu. Okoliczności jego śmierci do dziś owiane są tajemnicą.



Anna Gronczewska

Jacek Zejdler urodził się 19 stycznia 1955 roku w Łodzi. Jego ojciec Andrzej był adwokatem, mama Barbara lekarzem, znaną pediatrą. Jacek skończył III LO im. Tadeusza Kościuszki. Po maturze, którą zdał w 1973 roku dostał się do Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi. Nie był anonimowym chłopakiem. Miał za sobą epizod w „Niewiarygodnych przygodach Marka Piegusa”, zanim zasłynął tytułową rolę w serialu Stanisława Jędryki „Stawiam na Tolka Banana”.

Pokolenie dzisiejszych pięćdziesięcio- czy sześćdziesięciolatków powie, że był to ulubiony film ich dzieciństwa. Nie było podwórka, na którym nie nucono by piosenki o Tolku Bananie, o jego starych dzinsach i dziurawych kamaszach. Jacek Zejdler zagrał Szymka Krusza, chłopaka, który podszywa się pod Tolka Banana, rzekomego uciekiniera z domu poprawczego i zajmuje się grupą tzw. trudnej młodzieży.

Fatum ciążyło nad aktorami serialu

Serial do dziś cieszy się wielką popularnością. Głównie dzięki młodym aktorom, którzy w nim zagraли. Znalazł ich reżyser „Stawiam na Tolka Banana” niezujący już Stanisław Jędryka. Nie ukrywał, że ciążyło nad nimi jakieś fatum.

- Z sześciu aktorów grających główne role nie żyje już trzech - mówił nam w wywiadzie Stanisław Jędryka. - Ale żyją dalej w serialu. Sergiusz Lach przyszedł na zdjęcie próbne po ogłoszeniu w gazecie. Gdy go zobaczyłem, to od razu wiedziałem, że to idealny kandydat na „Filipka”. Dalej nie szukałem. Po latach odwiedziłem go w Sztokholmie, gdzie mieszkał. Był działaczem „Solidarności” i w pewnym momencie postanowił wyemigrować do Szwecji, bo groziły mu przykre konsekwencje. Pojechał do Szwecji, a następnie



Jacek Zejdler zagrał Szymka Krusza, chłopaka, który podszywa się pod Tolka Banana, rzekomego uciekiniera z domu poprawczego i zajmuje się grupą tzw. trudnej młodzieży

dnia pojawili się u niego panowie z SB. Jacek Zejdler studiował już wtedy w łódzkiej Szkole Filmowej. Był idealnym aktorem do roli Tolka. Ostatni raz spotkałem się z nim na Mazurach. Kręciłem tam „Szaleństwo Majki Skowron”. Nagle ktoś zaczął wykrzykiwać w moją stronę: Dzień dobry, panie reżyserze! Był to Jacek. Kilka lat później nie żył...

Wspominany przez reżysera Sergiusz Lach zmarł nagle w Szwecji w 2015 roku. Miał 54 lata. W Szwecji mieszkał od lat, zajmował się między innymi fotografią. Nie żyje też Andrzej Kowalewicz, który w „Stawiam na Tolka Banana” grał „Cygana”, chłopaka o czarnych, kręconych włosach, który pięknie grał na skrzypcach. - Nie związał się jednak z aktorstwem. Wiele podróżywał, zajmował się handlem, był właścicielem firmy serwisowej. W 2012 roku zginął w wypadku samochodowym...

Filip Łobodziński, dziś znany dziennikarz i tłumacz, opowiadał w jednym z wywiadów o swojej znajomości z Jackiem Zejdlerem. Poznali się na planie „Stawiam na Tolka Banana”.

- Jacek odmienił moje życie - mówił o swoim koleźce Filip Łobodziński. - Powiedział mi o „Ilustrowanym Tygodniku Rozrywkowym” Jacka Janczar-

skiego i Adama Kreczmara, zeszty, w którym spisywał teksty Beatlesów. Pokazał mi, że słowa piosenek mogą nieść treść.

SB szła za nim krok w krok

Gdy Jacek studiował w Szkole Filmowej, był już znany człowiekiem. Jednak kiedy kole-dzy zapewniali, że popularność go nie zmieniła.

Na studiach w łódzkiej Szkole Filmowej Jacek związał się z łódzkim środowiskiem skupionym wokół Komitetu Obrony Robotników. Łodzianin Józef Śreniowski, członek KOR, dobrze pamięta Jacka Zejdlera. Tak jak pierwsze spotkanie z aktorem. KOR zbierał podpisy pod listem do sejmiku, w którym domagano się zwolnienia z więzień robotników zatrzymanych po wydarzeniach w Radomiu i Ursusie.

- Nie było nas w Łodzi wielu - wspomina Józef Śreniowski. - Pomagali nam studenci, m.in. z polonistyki, fizyki, biologii. Zapamiętałem też dwójkę młodych ludzi, którzy studiowali w szkole filmowej. Przynieśli bardzo dużo podpisów.

Tymi studentami byli Jacek Zejdler i studentka reżyserii, niezujący już Natasza Czarmińska.

Józef Śreniowski nawiązał bliższą znajomość z Jackiem.

- Przychodził często do mnie do domu - mówi Józef Śreniowski. - Nie interesował się polityką, ale związał się z nami z powodu moralnego sprzeciwu. On szukał swojego miejsca w życiu. Był bardzo wrażliwym młodym człowiekiem.

Dziewczyna Tolka Banana

Po skończeniu Szkoły Filmowej Jacek Zejdler dostał etat w Teatrze im. Jaracza. Niezujący już Barbara Wałkówna, długoletnia aktorka tego teatru, która wykładała też w Szkole Filmowej, zapamiętała Jacka z roli Gucia w „Ślubach panieńskich”. Zagrał ją jeszcze na studiach. Był to jednocześnie jego dyplom.

- Pięknie zagrał tego w Gucia - wspominała Barbara Wałkówna. - Nie był za wysoki, ale na scenie był pełen wdzięku, bardzo zabawny. Prywatnie robił wrażenie człowieka spokojnego, z poczuciem humoru. Takiego, do którego uśmiecha się świat.

Aktor dalej współdziałał z łódzką opozycją. Niezujący już Tomasz Filipczak, działacz podziemia, mówił nam, że Jacek był jednym z najwspanialszych ludzi, jakich spotkał na swojej drodze.

Dziewczyną Jacka Zejdlera była znana, niezujący już aktorka Daria Trafankowska, o rok starsza od Jacka. Razem studio-

wali aktorstwo w łódzkiej Szkole Filmowej.

- Dziewczyna Tolka Banana! - krzyczały dzieci, gdy szła z Jackiem łódzkimi ulicami.

Jednak ich związek nie przetrwał. Jacek poznał inną dziewczynę, z którą się ożenił. Po latach Daria Trafankowska opowiadała, że dostała dramatyczny list od swojego byłego chłopaka. Jacek miał w nim pisać, że nic nie ma sensu i myśli o tym, by pożegnać się z tym światem. Ona przygotowywała się do premiery „Braci Karamazow”. Kilka dni po niej dotarła do niej tragiczna wiadomość...

Dyrektor wyrzucił go z teatru

W 1979 roku Jacek Zejdler zagrał jeszcze w serialu Jerzego Hofmana „Do krwi ostatniej”. Grał Zbyszka Trepmo, młodego chłopaka wstępującego do armii Zygmunta Berlinga. Ale ten rok nie był dla niego szczęśliwy. Stracił pracę w łódzkim Teatrze im. Jaracza. Dziś już trudno do-ciec dlaczego. Tomasz Filipczak przekonywał, że były to powody polityczne.

- Wystawiano spektakl z czasów rzymskich, tytułu nie pamiętam - opowiadał Tomasz Filipczak. - Jacek z kolegami na ścianie sceny umieścił wielki napis: „KOR”.

Jacek był rozczarowany tą decyzją. Z dnia na dzień pozostał bez pracy. Pomogli przyjaciele. Dwóch grało w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu. Zapytali ówczesnego dyrektora Bogdana Cybulskiego, czy przyjmie Jacka. Zgodził się. Tak we wrześniu 1979 roku Jacek Zejdler znalazł się w Opolu. Zaczął próby do „Wojny chłopskiej” Jonasza Kofty. Premiery nie doczekał...

Zdzisław Jaskuła, niezujący już łódzki poeta, był dyrektorem Teatru Nowego w Łodzi, też działacz opozycji, widział się z Jackiem Zejdlerem na kilka dni przed jego śmiercią. Pamięta tylko, że miało to miejsce w mieszkaniu ich wspólnej koleżanki Joasi. Zapamiętał Jacka jako niesłychanie wrażliwego, młodego człowieka.

- Tego wieczora rozmawialiśmy bardzo długo - wspominał Zdzisław Jaskuła. - Widać było, że jest w depresji. Miał nieciekawą sytuację rodzinną, której szczegółów nie znałem. Cho-dziło o rozczarowanie miłosne. Pojawili się problemy w jego

małżeństwie. Miał poczucie absurdu dalszej egzystencji. To osobiste nieszczęście bardzo przeżywał. Przekonywałem Jacka, że życie ma sens. Gdy się rozstawaliśmy, wydawało się, że jest weselszy, uspokojony. Ale chyba było to tylko złudzeniem. Kilka dni potem dowiedziałem się, że nie żyje.

Dlaczego umarł?

O śmierci Jacka Zejdlera przez lata krążyły legendy. Mówiono, że Tolek Banan zginął w wypadku samochodowym. Pojawiały się informacje, że esbecy zrzucili go z mostu na Od-rze, albo przejechali go autem. Inna z wersji mówiła, że zwią-zali aktora, wsadzili do śpiwora i odkreślił gaz. Jak było naprawdę?

Józef Śreniowski jeszcze dziś nie wyklucza, że za sprawą śmierci Jacka Zejdlera stała SB, że było to upozorowane samobójstwo. Wie, że aktora nękało SB. Powiedział mu kiedyś, że jest szantażowany przez esbeków. Nie zdradzał jednak, o co chodzi.

- Raz tylko zdenerwowany Jacek krzyknął: Nie zrobią ze mnie kapusia! - wspomina Józef Śreniowski.

Bliski przyjaciel Jacka opowiada, że kiedy był z nim na kursach dokształcaniowych organizowanych w Łodzi, w jednym z mieszkań przy ul. Narutowicza, niedaleko słynnej przed laty kawiarni „Irena”, wpadli tam esbecy. Potem on wyjechał z Łodzi, Jacek został. Wie, że był ciągany przez SB. Jednak jego zdaniem to, co się stało, było zbiegiem splotu psychologicznych zdarzeń. Rok przed śmiercią Jacek ożenił się. Gdy wyjechał do Opolu, jego żona została w Łodzi. Zaczęło się coś psuć. Bardzo to przeżywał.

- Wydawało się, że nie jest kruchy, ma dużo siły - twierdzi jego przyjaciel. - Optymystycznie myślał o swojej przyszłości zawodowej, życiowej. Coś jednak musiało w nim pęknąć.

Imprezę sylwestrową, na której witano nowy 1980 rok zorganizował dyrektor opolskiego teatru, Bohdan Cybulski. Jacek był na tym sylwestrze. Podobno doszło do jakiejś wymiany zdań między nim a dyrektorem. Obaj byli po alkoholu. Jacek wyszedł z imprezy. Wrócił do swojego mieszkania. Na ulicy równo zaparkował swojego fiata...

Jacka znaleziono 2 stycznia 1980 roku. Ktoś poczuł gaz wydobywający się z jego mieszkania. Leżał w śpiworze, przy otwartym piekarniku. Podobno wcześniej wykreślił korki. Jacek Zejdler został pochowany w rodzinnej Łodzi, na cmentarzu przy ul. Szczecińskiej w Łodzi. Miał 25 lat. Niedługo przed śmiercią pojawił się w filmie „Wesela nie będzie”. Zagrał w nim samobójcę, którego odratowano po kolejnej próbie odebrania sobie życia...

Od lat patrzysz na internet, jako ekspert - czy dzisiaj internet nas jeszcze informuje, czy już głównie pobudza emocje? I czy da się jeszcze oddzielić nienawiść w internecie od nienawiści na ulicy?

Internet jest zupełnie innym miejscem niż 10 czy 20 lat temu. Został zdominowany przez modele biznesowe platform cyfrowych, zwłaszcza serwisów społecznościowych, które błędnie nazywamy mediami społecznościowymi. One nie są mediami, bo nie mają zespołów redakcyjnych, nie tworzą treści, nie mają redaktorów prowadzących, nie odpowiadają za treści, które publikują użytkownicy. Dzisiejszy internet jest oparty na logice, którą dobrze oddaje tytuł książki Sarah Wynn-Williams: „Bez względu. O władzy, chciwości i upadku ideałów największego portalu społecznościowego”. Autorka, pochodząca z Nowej Zelandii, przez wiele lat pracowała w Facebooku i opisała, jakimi kategoriami kierowali się właściciele tej platformy, Mark Zuckerberg i cały zarząd Mety (do Mety należą nie tylko Facebook, ale także Instagram i WhatsApp). Z tej opowieści wynika, że liczy się przede wszystkim bezwzględne zarabianie. Jeden z rozdziałów dotyczy afery z 2017 r., kiedy wyciekł poufny dokument pokazujący, że Facebook oferował reklamodawcom możliwość targetowania przekazu do bardzo młodych użytkowników, nastolatków w wieku od 13 do 17 lat. Chodziło o wykorzystywanie prywatnych informacji po to, żeby rozpoznawać momenty, w których młodzi ludzie czują się bezwartościowi, słabsi, bardziej podatni na reklamy, na przykład promując im ...herbatki odchudzające czy inne tego typu produkty. Dochodzimy do sedna - to, w jaki sposób ludzie zachowują się dzisiaj w świecie rzeczywistym, coraz bardziej jest pochodną emocji, które przeżywają w świecie cyfrowym. A świat cyfrowy jest nastawiony na zbieranie danych o tym, jak się zachowujemy, co nas porusza, co zatrzymuje naszą uwagę. Po to, żeby można było jeszcze precyzyjniej targetować reklamy, sprzedawać ich więcej - w więcej zarabiać. Wyświetlane są nam przede wszystkim takie treści, profile i informacje, które są sensacyjne. One mają wzbudzić w nas emocje. Najczęściej emocje negatywne.

Niedawno media opisały sprawę brutalnego pobicia ukraińskich nastolatków w Warszawie, na Moście Świętokrzyskim. Równolegle w sieci krążą różne antyukraińskie narracje. Czy widzisz to jako dwa osobne zjawiska, czy raczej jako jeden obieg emocji?
To jest jeden obieg emocji. I w dużej mierze bierze się on

z tego, że nasz adwersarz, czyli Rosja i Kreml, prowadzi nieustanną wojnę o umysły. To wojna kognitywna. Rosja ma świadomość, że w tradycyjnej wojnie, takiej jak prowadzona w Ukrainie, nie może podbić krajów NATO. Może natomiast doprowadzać do zamieszania w głowach odbiorców. Widzieliśmy to przy ingerencjach w wybory prezydenckie w Rumunii, gdzie przez lata były przygotowywane konta po to, żeby w odpowiednim momencie promować konkretnego kandydata, który nagle wyskoczył jak Filip z konopi. Dobrym przykładem była sytuacja z września, kiedy do Polski wleciały rosyjskie drony. Błyskawicznie została uruchomiona akcja: boty, fejkowe konta, influencerzy „dostawali” gotową narrację, że to nie było 21 rosyjskich dronów, tylko drony ukraińskie. Żeby wzbudzić niechęć do naszego sąsiada, osłabić wsparcie dla Ukrainy, bo to jest w interesie Rosji, albo przekonywać, że obecność Polski w NATO nie ma sensu. Ostatnio przygotowywałem prezentację na szkolenie w jednym z zagranicznych projektów i to sprawdziłem. Znany influencer, specjalista od diety i fitnessu, Dziśki Trener, opublikował wideo do słownie kilka godzin po tym, jak drony wleciały do Polski. Materiał bardzo szybko zebrał ogromne zasięgi. Z analiz wyspecjalizowanych agencji wynika, że znacząca część komentarzy wokół wlotu dronów do Polski toczyła się wokół tej wątpliwości, którą on zasiał: „Ja tylko zadaję pytanie, dlaczego to miałyby być drony rosyjskie, a nie ukraińskie?”. I to jest odpowiedź na twoje pytanie. To efekt nieustannej presji na umysły użytkowników. Ta presja odbywa się na różnych poziomach. To mogą być działania typu doppelganger, czyli tworzenie stron ładujących przypominających strony znanych mediów. Wystarczy jedna inna litera w domenie i na takiej stronie przemycane są zmanipulowane informacje. To podsycanie określonych narracji, które potem podchwytuje część opinii publicznej albo politycy, bo jest im to wygodne dla celów politycznych. To mogą być fejkowe strony na Facebooku, Instagramie czy TikToku. To przecież słynna historia z „Prawilnymi Polkami”, które chciały wyjścia Polski z Unii Europejskiej, a w rzeczywistości były to profile stworzone z użyciem sztucznej inteligencji. Takich przypadków jest bardzo dużo. To jest zmasowana akcja, która ma sprawić, żeby ludzie wątpili. Bo w momencie, kiedy ludzie zaczynają mieć wątpliwości, kiedy zastanawiają się, czy państwo, w którym żyją, naprawdę ich reprezentuje i chroni, łatwiej jest przekonać ich do tego, żeby na przykład nie poszli na wybory albo zagłosowali na nietypowych kan-

PAWEŁ NOWACKI: ŚWIAT OFFLINE JEST DZIŚ ODBICIEM EMOCJI, KTÓRE PRZEŻYWAMY ONLINE

Młodzi ludzie często czują się pewnie w obszarze rozpoznawania treści przetworzonych przez AI. Ale to nie znaczy, że są odporni na fake newsy – mówi Paweł Nowacki, niezależny konsultant do spraw online, członek zarządu Stowarzyszenia Praktyków Transformacji Cyfrowej, ekspert Izby Wydawców Prasy

Anita Czupryn

dydatów. Dlatego świat rzeczywisty, świat offline i emocje, które nim rządzą, są dziś w dużej mierze odbiciem emocji obecnych online. A te z kolei są odbiciem nieustannej presji dezinformacyjnej. Dezinformacyjna powódź, wysyp fake newsów jest tylko jedną z form walki o umysły. To nie jest problem wyłącznie Polski. W ramach jednego z projektów byłem w Armenii i tam sytuacja wygląda bardzo podobnie. To samo było w Mołdawii, to samo widzieliśmy w Rumunii, w Bułgarii w okresie wyborczym. Rosja przeznacza na tego typu kampanie olbrzymie budżety, liczone już w miliardach dolarów. Ciekawy był przypadek z Niemiec: zapłacono kilku osobom za to, by zatykały rury wydechowe samochodów. Samochody nie mogły ruszyć, a jednocześnie zostawiano ślady sugerujące, że jest to działanie zwolenników lewicowych, ekologicznych ugrupowań, które w tych landach miały szansę na dobry wynik w wyborach. Media początkowo opisywały to jako akcję skrajnych aktywistów ekologicznych. Później okazało się, że była to operacja, w której rosyjscy agenci znaleźli osoby gotowe wykonać takie działania za 50 czy 100 euro. Ostrze tej akcji zostało skierowane przeciwko tym środowiskom, które chciano uderzyć i wzbudzić przeciwko nim społeczne emocje. Niemieckie śledztwo pokazało, że rosyjscy agenci przekupili pojedynczych ludzi, żeby wykonali taką akcję. I takich sytuacji mamy dziesiątki. To jest ogromna skala.

Ostatni raport NASK pokazał, że to wcale nie seniorzy oka-

zują się najbardziej podatni na narracje spiskowe, tylko młodzi ludzie, młodzi dorośli. Czy to cię zaskoczyło?

Nie zaskoczyło, ponieważ my jako Stowarzyszenie Praktyków Transformacji Cyfrowej robiliśmy podobne badania. Było prowadzone pod koniec 2025 r., a tytuł brzmiał: „Polacy nie dają się nabierać na dezinformację?”. To badanie omnibusowe, w panelu internetowy na próbie 850 dorosłych Polaków. Tam wyszło, że osoby starsze są trochę bardziej odporne na dezinformację niż młodzi ludzie. Oczywiście nie oznacza to jednoznacznie, że taki 85-latek na pewno rozpozna dezinformację, bo może mieć dużo słabsze umiejętności cyfrowe. Natomiast co do zasady osoby starsze mają nieco większe doświadczenie życiowe, także sprzed epoki cyfrowej. W największym skrócie: miały więcej styczności z tradycyjnymi mediami, w których ktoś najpierw weryfikował informacje, a dopiero potem je publikował. W naszym badaniu wyszło, że grupa wiekowa 25 - 34 lata jest podatna na fake newsy, a jednocześnie czuje się dość pewnie w obszarze rozpoznawania treści przetworzonych przez AI. 51 procent osób z tej grupy powiedziało, że potrafi odróżnić fałszywkę. W młodszych kategoriach wiekowych, zwłaszcza w grupie 18 - 24 lata, najwięcej osób odpowiadało, że spotyka takie treści dezinformacyjne, ale też łatwiej (niż starsi) przyznaje, że dało się już kiedyś nabrać. Ale oni też znacznie więcej korzystają z serwisów społecznościowych.

Bo ekran jest ich naturalnym środowiskiem życia.

Tak. Ktoś ze starszej grupy wiekowej wciąż może oglądać tradycyjną telewizję, więc zobaczy tam informację, która na przykład przeczy temu, co wcześniej zobaczył w sieciach społecznościowych. Co więcej, odwołam się tu znowu do książki, o której mówiliśmy na początku. Mechanizmy, które dzisiaj rządzą serwisami społecznościowymi, są nastawione właściwie wyłącznie na zarabianie. Kiedy jesteśmy smutni, przerażeni, poruszeni, chętnie klikamy. A każde kliknięcie to kolejne dane, które może wykorzystać właściciel platformy. Sama pewnie zauważałaś, że dzisiaj z Facebooka czasem w ogóle trudno korzystać. To, co nam się wyświetla, wygląda mniej więcej tak: na pięć postów trzy są reklamami, dwa są treściami, przy których w ogóle nie wiemy, dlaczego nam się pojawiły, a dopiero jeden może być postem kogoś znajomego.

Rzadko już widzę posty znajomych, to prawda.

Sukces TikToka spowodował, że właściciel Facebooka poszedł podobną drogą. Przestało się liczyć przede wszystkim to, że jesteśmy znajomymi i dlatego widzę twoje posty, nawet jeżeli ich nie klikam. Dzisiaj liczy się możliwość wyświetlenia takich treści, które mogą pomóc platformie zarobić. Podałaś przykład strony „Światło Prawdy”. Istniejąca na Facebooku strona „Streszczam artykuły, żebyś nie musiał klikać” rozpoczęła akcję zachęcania użytkowników, by zgłaszali ten profil do usunięcia. Też to zrobiłem, zrobiło to bardzo wiele znajomych, widziałem wśród nich także dziennikarzy.

Pod tym wpisem było już około 2 tysięcy lajków, tysiąc osiemset komentarzy, kilkadziesiąt udostępnień. Ludzie zgłosili tę stronę do usunięcia... i w końcu się udało. Ta strona była niby zarządzana z USA, publikowała treści, które nie mają nic wspólnego z prawdą, generowane przez sztuczną inteligencję. Widać, że bardzo wielu ludzi używa AI do zarabiania pieniędzy, ale też do osiągania jakichś celów politycznych.

Raport NASK mówi też o tym, że samo czytanie informacji w wielu źródłach wcale nie chroni nas przed teoriami spiskowymi, jeśli te źródła są chaotyczne, skrajne i sprzeczne. Czyli hasło „sprawdź w kilku miejscach” już dzisiaj nie wystarczy?

Pytanie: w jakich miejscach? Bo bardzo dużo osób żyje w swoich bańkach informacyjnych. Sprawdzają informacje w serwisach społecznościowych i wychodząc od tych serwisów, trafiają na kolejne miejsca, które wydają się dla nich wiarygodne, ale wcale wiarygodne nie są. Stąd biorą się popularne dziś treści dezinformacyjne np. w medycynie. Kiedyś były to profile i konta z treściami antyszczepionkowymi, dzisiaj często są to suplementy diety, samowarzyć eksperci, którzy udzielają porad zdrowotnych, choć nie są lekarzami, albo przedstawiają się w taki sposób, żeby wyglądać na autorytety. Do tego alternatywne terapie, superwody do leczenia, woda jonizowana, cudowna woda na każdą dolegliwość. Jako Stowarzyszenie Praktyków Transformacji Cyfrowej prowadzimy z organizacją fact-checkingową Pravda.org.pl projekt sprawdzenia



FOT. 123RF

Nowacki: Dzisiaj liczy się możliwość wyświetlenia takich treści, które mogą pomóc platformie zarobić

takich treści, są też z nami naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego. Tacy użytkownicy sprawdzają informacje w miejscach, które potwierdzają ich tezę. Nawet jeśli sprawdzają, to nie są to źródła wiedzy medycznej, czy po prostu zweryfikowane portale. Twoje pytanie zmierza do tego, czy sprawdzanie w kilku miejscach coś daje. Odpowiedź brzmi: W jakich miejscach? Jeżeli ktoś sprawdza informacje na stronie samozwańczego eksperta Oskara Dorosza, który mówi: „Powieć wam prawdę, której nie powiedzą wam lekarze”, to osoby szukające takich treści są potem właściwie skazane na ten obieg informacji. Dorosz nie jest lekarzem. W internecie funkcjonuje jako influencer Doktor Zdrowie, pojawia się przy nim określenie „popularyzator nauki” i podobne opisy. Ale to nie jest żadne sprawdzone źródło. Na jego stronie nie ma prawdziwych informacji w takim sensie, w jakim mówimy o zweryfikowanej wiedzy medycznej. Powstała nawet strona gdzie można anonimowo zgłaszać przypadki poszkodowania przez pseudomedycznych szarlatanów Ofiarszarlatana.pl.

Ostatnio w mediach społecznościowych pojawiły się treści o hantawirusie: że to bę-

dzie jak z COVID-em, że znowu zamkną lasy, że znowu ktoś coś przed nami ukrywa. Co widzisz, kiedy patrzysz na tego rodzaju wrzutki? Bo to nie wygląda na coś jednostkowego, tylko na boty, które zaczynają to rozpowszechniać.

Po pierwsze, to nadal spina się z potrzebą wywołania lęku, z potrzebą Rosji, żeby ten lęk uruchamiać i wywoływać zamieszanie. Po drugie, jest masa osób, która zrobiła sobie z tego ogromny biznes i zarabia wielkie pieniądze. Słynny Jerzy Zięba, który był wielokrotnie wskazywany w tym kontekście, mieszka dziś spokojnie na Florydzie. Takich ludzi, którzy wprowadzają innych w błąd, jest dużo. To samozwańcy eksperci. Uważam, że choćby dlatego trzeba zwiększyć liczbę działań weryfikacyjnych, fact-checkingowych. Mitów o szczepieniach, chorobach czy innych tematach zawsze będzie dużo, ponieważ zawsze znajdzie się ktoś, kto powie: „Założę profil na Facebooku i powiem wam prawdę o tej chorobie, która wybuchła na statku”. Zbierze 50 czy 100 tysięcy użytkowników, jeszcze może im coś sprzedać i zarobi na tym niezłe pieniądze. Do tego tak naprawdę dziś mi się to sprowadza.

Dlaczego prawda dzisiaj przegrywa?

Prawda nie przegrywa. Prawda wygrywa zawsze wtedy, kiedy ludzie mają szansę do niej dotrzeć. Natomiast część użytkowników serwisów społecznościowych, weszła już tak głęboko w ten świat, że nie ma świadomości, jak bardzo jest uzależniona od tego, co te serwisy im pokazują. To targetowanie oparte na emocjach, te czynniki emocjonalne powodują, że nawiązujemy więzi z treściami, które budzą w nas emocje. I wtedy zatracamy możliwość racjonalnego myślenia i oceniania tego, co faktycznie widzimy. Dużą rolę mają tu do odegrania media, jak i sama władza. Jeżeli będą programy fact-checkingowe, jeżeli - jak cytuję o innych krajach - będą rozbudowane działania wspierające media w walce z dezinformacją, to tym większa jest szansa, że uda się przeciwstawić tej fali. Bo to jest fala dezinformacji, a szerzej: wprowadzania ludzi w błąd, wzmocniana przez użycie AI. Prosty przykład: ktoś dla zabawy udostępni treści stworzone przy pomocy sztucznej inteligencji, na przykład dotyczące polityków. Wie, że to nie jest prawda. Widzi, że ten polityk nawet nie jest do końca podobny do siebie, ale udostępni albo lubi taką treść. I jednocześnie w ten

sposób wzmacnia widoczność profili, które te treści publikują bo algorytm się uczy, że to treść budząca zaangażowanie. Czyli nawet jeżeli robię to bez złych intencji, nawet jeżeli wiem, że to nie jest prawda, wiem, że to jest zrobione przez AI, wiem, że to są treści wprowadzające w błąd, ale dla zabawy je udostępnię, pokażę znajomym albo polubię, to jednocześnie wysyłam właścicielowi platformy sygnał, że ta treść jest skuteczna. A skoro jest skuteczna, to znaczy, że trzeba pokazać ją kolejnym ludziom podobnym do mnie. Czyli jeśli ja to widziałem, to pewnie tobie też to pokażę, bo jesteśmy do siebie podobni. Rozumiesz, o co chodzi?

Tak. Chciałabym cię jeszcze zapytać o lokalne media. Pracowałeś z nimi, więc wiesz, że lokalni dziennikarze znają ludzi, miejsca, konteksty i na swoim terenie mogą być bardziej skuteczni na przykład w rozbrajaniu paniki. Jak twoim zdaniem powinny działać lokalne redakcje, kiedy pojawiają się fałszywe informacje, że Ukraińcy coś zrobili, że w lesie jest wirus albo że władza coś przed nami ukrywa?

Przed wszystkim w ramach jednego z projektów grantowych prowadziliśmy cykl szkoleń „Nie wierz w to, co widzisz”, w którym wzięło udział

ponad 190 dziennikarzy z różnych redakcji z całego kraju, głównie lokalnych. Projekt miał im pomóc zrozumieć, jak działają mechanizmy dezinformacji, jakie są metodologie i jakich narzędzi używać, by rozpoznać na przykład, czy zdjęcie zostało przerobione. Mam przekonanie i wynika ono także z naszych doświadczeń, że media lokalne mają tu ogromną rolę do odegrania. Natomiast najważniejsze jest to, żeby nie krytykować użytkowników czy odbiorców, którzy komentują: „Piszecie nieprawdę”, „To jednak jest choroba”, „Będziemy się zarażać” i tak dalej. To tylko jeszcze bardziej negatywnie nastawia odbiorców do samego medium. Utwierdza ich w przekonaniu: „Ukrywacie prawdę”. Trzeba w delikatny sposób pokazywać, jakie są fakty, i tych faktów się trzymać. W jednym z serwisów lokalnych, najpierw pod postami na Facebooku, a potem w samym serwisie, zaczęły pojawiać się komentarze, że jakaś 12-latką została zgwałcona przez imigranta i miejscowa policja, władza to ukrywa. Redakcja napisała tekst, że to nieprawda, że nigdzie nie ma żadnego potwierdzenia takiego zdarzenia. I to jest najlepsza metoda: opisać dokładnie fakt, oprzeć się na dowodach, cytatach osób, danych i nie

wchodzić w emocjonalny spór. Dlatego redakcje powinny być przygotowane na takie sytuacje. Czyli nie tylko debunking (prostowanie konkretnych fake newsów, które już się pojawiły), ale i prebunking. Prebunking to przygotowywanie się na to, że może nadejść fala dezinformacji: z okazji wyborów, jakiegos dużego wydarzenia albo chociażby wtedy, kiedy pojawiają się pierwsze informacje o tym, że jest jakaś choroba i że statek ma zawinąć do portu. Wtedy pomyślałbym, że gdybym miał coś zrobić, nagrałbym krótki film albo napisał tekst wyjaśniający, że ta choroba nie jest taka sama jak COVID, że nie zarażamy się nią w taki sposób, że nie będzie żadnej pandemii. Po to, żeby na samym początku obniżyć poziom lęku. Były robione badania na Cambridge, które pokazywały, że ludzie, którzy wcześniej obejrżeli albo przeczytali materiał pokazujący, co może nastąpić i jakiego typu próba dezinformacji może się pojawić, byli potem mniej więcej dwa razy trudniejsi do przekonania do fałszywej narracji. Trudniej było im w nią uwierzyć. Prebunking, czyli wcześniejszego przygotowywania ludzi na trendy czy możliwe próby manipulacji, jest na pewno do wykorzystania.

Na koniec: jak nie stać się nieświadomym przekaznikiem różnych dezinformacji, cudzych operacji, które mają wzbudzić lęk?

Przed wszystkim starać się nie ulegać emocjom. Po drugie, raz na jakiś czas zrobić sobie kompletny detoks od serwisów społecznościowych albo od treści, które wydają nam się podejrzane. I próbować szukać informacji w takich mediach czy źródłach, które są zweryfikowane. Teraz są bardzo popularni dobrzy specjaliści, którzy prowadzą na przykład strony czy profile wyspecjalizowane w jakiejś dziedzinie. Potrzebny jest pewnego rodzaju dystans bo gubi nas to, że reagujemy emocjonalnie. Widzimy coś i od razu reagujemy, sądząc, że to jest prawda. Bez sprawdzania. A ludzie nie są w stanie wszystkiego sprawdzić, bo nie każdy ma takie możliwości, czas i umiejętności. Żeby się nie nadziać, trzeba po prostu zawsze zrobić krok w tył i powiedzieć sobie: „To wygląda niewiarygodnie, może jednak zajrzeć gdzie indziej”. Jest też prosty trik: jeżeli na wszystkich portalach internetowych w Polsce nie ma tej informacji, albo nie ma jej na kilku dużych portalach, to znaczy, że to, co widzisz na Facebooku, Tik Toku czy Instagramie niekoniecznie musi być prawdą. Bo dlaczego oni o tym nie piszą? Przecież gdyby to była prawda, to by napisali. © ©

Radio uśmierciło brytyjskiego króla Karola. Rozgłośnia przeprosiła

Adam Kielar
Londyn

Brytyjskie Radio Caroline musiało przeprosić swoich słuchaczy za uruchomienie protokołu „Śmierć monarchy”. W ostatni wtorek rozgłośnia poinformowała, że król Karol III nie żyje.

Radio Caroline, które nadaje w rejonie południowej Anglii oraz Midlands w Wielkiej Brytanii podało we wtorek, 19 maja, że... król Karol III nie żyje.

Wówczas stacja rozpoczęła procedurę „Śmierć Monarchy”. Przerwano program, prowadzący powiedział, że to dlatego, że monarcha zmarł, następnie odtworzono brytyjski hymn („God save the King” - „Boże chroń króla”).

Przez 15 minut radio milczało, po czym nastąpił powrót na antenę i spikerzy przeprosili za błąd.

W końcu rozgłośnia wydała komunikat w tej sprawie.

„Z powodu błędu komputerowego w naszym głównym studiu, po południu we wtorek 19 maja została przypadkowo aktywowana procedura Śmierć Monarchy, którą wszystkie stacje w Zjednoczonym Królestwie mają przygotowaną, mając nadzieję, że nie będą musiały jej użyć. Przekazywaliśmy, że odszedł Jego Wysokość Król” - czytamy w oświadczeniu.

Jak zaznaczono, Radio Caroline zamilkło zgodnie z procedurą, co zaalarmowało władze stacji i skutkowało przywróceniem nadawania i wyłączeniem przeprosin.



- Przepraszamy - napisała stacja w oświadczeniu

Grzegorz Kuczyński
Waszyngton

Jak wynika z dokumentów sądowych opublikowanych w środę, były prezydent Kuby Raul Castro został w USA postawiony w stan oskarżenia pod zarzutem morderstwa.

Akt oskarżenia przeciwko Raulowi Castro, złożony w sądzie federalnym w Miami, zawiera jeden zarzut spisku w celu zabicia obywateli USA, cztery zarzuty morderstwa oraz dwa zarzuty zniszczenia samolotu, jak wynika z dokumentów sądowych. W sprawie jako oskarżonych wymieniono również pięć innych osób.

Ogłoszenie zarzutów odbyło się przed Freedom Tower w Miami, budynkiem uważanym za symbol kubańskiej emigracji i zbiegło się z obchodzoną 20 maja Dniem Niepodległości Kuby.

Ma to miejsce w momencie, gdy prezydent USA Donald Trump naciska na zmianę reżimu na Kubie, gdzie komuniści sprawują władzę od czasu, gdy Fidel Castro przeprowadził rewolucję w 1959 roku.

Przedstawiciel Departamentu Sprawiedliwości USA powiedział w zeszłym tygodniu agencji Reuters, że przewidywane zarzuty wobec Raula Castro opierają się na incydencie z 1996 roku, w którym kubańskie myśliwce zestrzeliły samoloty obsługiwane przez grupę kubańskich emigrantów.

W oświadczeniu wydanym w środę Trump nazwał Kubę „państwem zbuntowanym, udzielającym schronienia wrogim siłom zbrojnym” i przedstawił działania swojej administracji dotyczące tej karaibskiej wyspy jako część szerszych wysiłków na rzecz rozszerzenia wpływów USA na półkuli zachodniej.

Prezydent powiedział, że Kuba się „rozpada”, a reżim traci kontrolę nad sytuacją. Odmówił odpowiedzi na pytanie, czy Raul Castro podzieli los Nicolasa Maduro i zostanie pojmany przez USA.

Bez eskalacji

- Mamy mnóstwo ludzi na Kubie. Mamy tam CIA. (Sekretarz Stanu - PAP) Rubio stamtąd pochodzi, więc mamy duże doświadczenie. Zamierzamy pomóc Kubańczykom. Wyzwalamy Kubę - powiedział dziennikarzom Trump w bazie Andrews po powrocie z Connecticut.

Pytany przez dziennikarzy, czy Kubańczycy powinni spodziewać się „jakiejs eskalacji”, Trump odparł: „Nie, nie będzie eskalacji. Nie sądzę, żeby była potrzebna. Ten kraj się rozpada. To jest bałagan, a oni w zasadzie stracili kontrolę nad Kubą”.

Jedenastu wysokich rangą urzędników państwowych Kuby zostało objętych sankcjami przez władze USA. Wśród nich, jak przekazało we wtorek Radio Marti, jest trzech członków rządu Kuby.

Rozgłośnia, powołując się na informacje amerykańskiego ministerstwa finansów, sprecyzowała, że wśród objętych sankcjami jest minister energii i przemysłu wydobywczego Vicente de la O Levy, rzeczniczka rządu Mayra Arevich Marin i szefowa resortu sprawiedliwości Rosabel Gamon Verde. W gronie urzędników ukaranych sankcjami jest też przewodniczący Zgromadzenia Narodowego Esteban Lazo. Według Radia Marti sankcjami objęto też szefa kontrwywiadu wojskowego i członka biura politycznego komitetu centralnego Komunistycznej Partii Kuby Roberto Moralesa Ojedę.

Express
BYDGOSKI
www.express.bydgoski.pl

Redaktor naczelna **Alicja Polewska**
Prezes Makroregionu **Marek Ciesielski**
Dyrektor biura reklamy oddziału **Agnieszka Perlińska**
Dyrektor marketingu oddziału **Katarzyna Jabłońska**

Redakcja, ul. Zamoyskiego 2, 85-063 Bydgoszcz
tel. 52 32 63 100
redakcja@express.bydgoski.pl
Druk Polska Press Oddział Poligrafia
85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskappress.pl, tel. 12 688 85 10

PBC
Polska Biuro Cenzury
KONTROLA

© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.expressbydgoski.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

REKLAMA

0011525450

K

ZEZŁOMUJEMY KAŻDY POJAZD, NAWET UFO!

PROSTO I EKOLOGICZNIE

- SKUP AUT
- SPRZEDAŻ CZĘŚCI
- AUTOKASACJA

KAPRAL-CAR

CO ZYSKACIE W KAPRAL-CAR?

GODZIWĄ GOTÓWKĘ

Tak, nawet jeśli wasz pojazd miał kilka „mniej zaszczytnych” momentów, wciąż ma swoją cenę!

LEGALNE DOKUMENTY

Nie chcesz mieć stresu związanego z formalnościami? Nie ma sprawy! Nasza stacja demontażu zadba o to, abyś mógł pozbyć się swojego auta zgodnie z prawem.

ODBIÓR GRATIS!

Tak, dobrze przeczytaliście - nie musicie się martwić o transport swojego pojazdu, my zajmiemy się tym **ZA DARMO**.

SZYBKĄ WYCENĘ

Bez zbędnych ceregieli, dostaniecie od nas uczciwą ofertę!

ZADZWOŃ

515 111 111

WWW.KAPRAL-CAR.PL

DROBNE

Nieruchomości

DZIAŁKI, GRUNTY SPRZEDAM

SPRZEDAM prestiżową działkę przemysłową - 3600 m² w Bydgoszczy (Glinki). Działka pięknie położona w lesie, przy głównej drodze - tel. 884884819

GOSPODARSTWA

SPRZEDAM ziemię rolną: pszenrol. com.pl

Finanse biznes

KREDYTY, POŻYCZKI

KREDYT na dowód 781026833

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Bydgoszcz tel. 604 630 556

ZATRUDNIĘ pracowników ogólnobudowlanych tel. 606 432 661

Zdrowie

LABORATORIA

DR n.med. Maciej Świtoński- chirurg choroby jelita grubego, choroba hemoroidalna, 602298213, 60-229-82-13, 602-298-213, Bydgoszcz

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

MALOWANIE gładzie 530-056-990

MALOWANIE, kafelki, gładź 792715204

MONTAŻOWE

NAPRAWA okien, drzwi tel. 602720927

ROLETY ATRAKCYJNE CENY. Producent „GARDA” tel. 504166613

INNE

ODNAWIANIE wanien. 600-979-826

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 7 dni od 1050 zł z 30% dofin. dla emerytów/ rencistów, tel 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

KOŁOBRZEG blisko morza! 511337308

USTKA- Wczasy! Pokoje! 604-486-413.

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne

w Twojej gazecie przez Internetowe Biuro Ogłoszeń.

Bez wychodzenia z domu.



ibo.polskapress.pl

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 20.05.2026 r. zasnął w Bogu nasz kochany Ojciec, Teść, Dziadek i Pradziadek

ś†p

Mieczysław Gołąb

lat 89

Msza św. żałobna odprawiona zostanie dnia 23.05.2026 r. o godz. 12.00 w kaplicy kościoła św. Jadwigi Królowej przy ul. Wojska Polskiego. Pogrzeb odbędzie się tego samego dnia o godz. 13.30 na cmentarzu komunalnym przy ul. Wiślanej (II kaplica). Modlitwa różańcowa rozpocznie się o godz. 13.00.

W smutku pogrążona

Rodzina

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 20.05.2026 r. odeszła od nas

ś†p

Krystyna Maćkowska

lat 77

Msza św. pogrzebowa zostanie odprawiona w sobotę 23.05.2026 r. o godz. 11.00 w kościele pw. św. Mateusza. Ceremonia pogrzebowa rozpocznie się o godz. 12.00 w kaplicy na cmentarzu komunalnym przy ul. Wiślanej w Bydgoszczy.

W smutku pogrążona

Rodzina

AUTOREKLAMA

strefa BIZNESU.pl

Know-how
w dobrym biznesie
strefabiznesu.pl

REKLAMA



Zielń Miejska
Zakład Pogrzebowy

UL. CZARTORYSKIEGO 13
☎ 24h / 7 - 52 324 99 99
WŁASNE KREMATORIUM

„Nie odchodzi ten, kto pozostaje w sercach bliskich”

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że w dniu 17 maja 2026 r. odeszła od nas nasza kochana Mama, Babcia, Prababcia, Siostra i Ciocia

ś†p

Barbara Bogusławska

lat 89

Ceremonia pogrzebowa odprawiona zostanie w dniu 27 maja 2026 r. (środa) o godzinie 14.30 (różaniec 14.00) na cmentarzu komunalnym przy ul. Wiślanej w Bydgoszczy.

Pogrążona w smutku

Rodzina



Na zawsze pozostaniesz w naszych sercach

Z wielkim żalem i smutkiem zawiadamiamy, że w dniu 19.05.2026 r. zasnął w Bogu

Nasz Najukochańszy Mąż, Tata, Dziadek

ś†p

Stanisław Durlak

lat 82

Msza Św. żałobna zostanie odprawiona w dniu 25.05.2026 r. (poniedziałek) o godzinie 13.30 w Kościele pw. Wniebowstąpienia Pańskiego, ul. Atolowa 6, Bydgoszcz.

Przed Mszą odmówienie Różańca, godzina 13.00. Ceremonia pogrzebowa po mszy świętej odbędzie się na cmentarzu parafialnym w Osówcu, ul. Spokojna.

Pogrążona w smutku

Rodzina



AUTOREKLAMA

aktualne
z całej Polski
przetargi



nasze komunikaty.pl

AUTOPROMOCJA

**Kondolencje i nekrologi w Twojej gazecie
przez Internetowe Biuro Ogłoszeń,
bez wychodzenia z domu**

Tutaj zlecisz ogłoszenie

ibo.polskapress.pl

SŁOWNNIK: ANTYPKA, AOMORI, HILO, KEA, MUTRA, LITORAL, LOME, SODALIS.

ROZWIĄZANIE: NIE MA ZWYCIEŚTWA BEZ TROSKI I TRUDU.

PIŁKA NOŻNA OLIMPIA GRUDZIĄDZ W WALCE O BETCLIC 1. LIGĘ NIE MOŻE POZWOLIĆ SOBIE NA POTKNIĘCIE

Mecz dekady niebiesko-czarnych

Dariusz Knopik

dariusz.knopik@polskapress.pl

Rozgrywki w Betclit 2. Lidze i Betclit 3. Lidze wkraczają w decydującą fazę. Emocji nie brakuje. W obu ligach w weekend rozegrane zostaną mecze 33. kolejki

Olimpia Grudziądz walczy o drugą lokatę, która zapewni bezpośredni awans do Betclit 1. Ligi. Biało-zieloni tracą dwa punkty do Warty Poznań i mają gorszy bilans meczów bezpośrednich od wicelidera. Grudziądzanie już są pewni, że do ewentualnych baraży przystąpią z trzeciego miejsca, które gwarantuje rozgrywanie obu meczów na swoim boisku. Jednak nich w klubie przy ul. Piłsudskiego nie chce zostawiać sprawy awansu barażom, bo to jest loteria.

Póki co wszyscy walczą, by wyprzedzić Wartę. Aby tak się stało Olimpia musi pokonać Hutnika Kraków, a Warta stracić punkty na wyjeździe z Podhalem Nowy Targ.

Hutnicy mają jeszcze cień szansy na szóstą lokatę i grę w barażach. Aby tak się stało ekipa z Krakowa musi wygrać dwa ostatnie mecze i liczyć, że wyprzedzające ją rezerwy Śląska Wrocławia, Sandecji Nowy Sącz i Chojniczanki będą przegrywały do końca sezonu. Scenariusz wydaje się być mało realny.

Z kolei Podhale choć zajmuje piątą lokatę to jeszcze nie jest pewne baraży i nie może sobie pozwolić na straty. Czy ekipa z Nowego Targu pośrednio pomoże Olimpii?

Jednak najważniejsze jest, by zespół z Grudziądza pokonał ekipę z Krakowa. Biało-zieloni gdy będą przystępowali do meczu z Hutnikiem będą znali wynik spotkania z Nowego Targu.

Spotkanie Olimpia - Hutnik w niedzielę o godz. 19.30. Transmisja w TVP 3, aplikacji TVP Sport i na stronie sport.tvp.pl.

Będzie ligowy rekord

O awans walczy też Zawisza Bydgoszcz, tyle że do Betclit 2. Ligi. Niebiesko-czarni są w lepszej sytuacji niż Olimpia, bo przewodzą rozgrywkom, ale mają tylko punkt więcej niż drugi Wikęd Luzino. I to właśnie ten zespół podejmą w sobotę o godz. 19.

Zwycięstwo oznacza promocję dla Zawiszan, każdy inny wynik to przesunięcie rozstrzygnięcia na ostatnią kolejkę.

W klubie przy ul. Gdańskiej nikt nie zakłada innego scenariusza niż zwycięstwo i świętowanie awansu. To byłoby ukoronowanie 10 lat pracy Stowarzyszenia Piłkarskiego. Przypomnijmy, że w 2016 roku władze SP Zawisza podjęły się odbudowy zespołu seniorów. Rozpoczęli od Klasy B, do 4. Ligi awansowali rok po roku. Potem



Przed piłkarzami Zawiszy najważniejszy mecz w ostatniej dekadzie. W grze awans na szczybel centralny

byli dwa lata w gronie czwartoligowców. Potem już był etap trzecioligowy, którego wszyscy mają już serdecznie dość.

Trwa mobilizacja na to spotkanie wśród kibiców. Do czwartku wieczora sprzedano ponad pięć tysięcy biletów. To ligowy rekord na stadionie przy ul. Gdańskiej na tym szczeblu rozgrywek.

Do Bydgoszczy wybiera się też grupa kibiców Wikędu.

Pełne skupienie

A co słychać w bydgoskim zespole? Od wtorku trwa normalna praca. Jest pełne skupienie, bo wszyscy zdają sobie sprawę, że to jest mecz dekady. Oczywiście były pucharowe boje z Lechem Poznań, Wisłą Kraków czy ostatnio z Górnikiem Zabrze, ale to był tylko przyjemny przerywnik w ligo-wej rzeczywistości. Teraz trzeba wykonać ostatni krok

i zacząć pięć się w centralnej hierarchii, bo jak mówił w rozmowie z nami Marcin Szadkowski, właściciel klubu: „Miejsce Zawiszy jest w PKO BP Ekstraklasie!”.

- Wszystko przebiega normalnie - mówi trener Adrian Stawski. - Każdy jest skupiony na swojej robocie. Nie widzę, żeby w zespole była jakaś nerwowość. Mieliśmy zajęcia mentalne i Leszek Furman, który je z nami prowadzi był bardzo zadowolony. Co zdecyduje o zwycięstwie? Połączenie przygotowania fizycznego, realizacja założonego planu i odpowiednie podejście mentalne do meczu. Znamy swoją wartość jako drużyna. Jesteśmy pewni swoich umiejętności. Oczywiście znamy też słabe i silne strony rywala. To nie przypadek, że są na drugim miejscu w tabeli i walczą z nami o awans. Będziemy gotowi na każdy scenariusz. Bardzo liczymy też na naszych kibiców, którzy wspierają nas w każdym meczu. Dziękujemy im za to. Zrobimy wszystko, by spełnić nasze wspólne marzenia - zapewnia szkoleniowiec.

W sobotę nie zagra Maciej Kona, który musi pauzować za żółte kartki. Jednak kadra Zawiszy jest szeroka więc zapewne uda się zastąpić defensywnego pomocnika.

A co z pozostałymi trzecioligowcami. Elana Toruń w sobotę o godz. 17 podejmie Noteć

Czarnków. Żółto-niebiescy postarają się przerwać fatalną passę dziewięciu meczów bez zwycięstwa.

Dzień później o tej samej godzinie Wda Świecie zagra na wyjeździe z rezerwami Pogoni Szczecin.

Z kolei Tłuchowia Tłuchowo już w piątek o godz. 17.30 podejmie Błękitnych Stargard.

Czwartoligowy hit

Emocje będą także w 4. Lidze Kujawsko - Pomorskiej. W Bydgoszcz prowadzący Chemik podejmie trzecią Unię Sołec Kujawski. Bydgoszczanie są coraz bliżej promocji do Betclit 3. Ligi. Mają sześć punktów przewagi nad drugą Pogonią Mogilno i osiem nad Unią, a dodatkowo mecz rozegrany mniej. Wydaje się, że tylko jakiś kataklizm zabierze chemikom promocję.

O drugą lokatę premiowaną grą w dwustopniowych barażach trwa zażarta walka między zespołami z Mogilna i Solca Kujawskiego. I pewnie potrwa do ostatniej kolejki.

30. kolejka 4. Ligi Kujawsko-Pomorskiej-

piątek: Łokietek Brześć Kujawski - Wisła Dobrzyń nad Wisłą (godz. 18); **sobota:** Start Pruszcz - Piast Kołodziejewo (12), Chemik - Unia Sołec Kujawski (12), Orleń Aleksandrów Kujawski - Sparta Brodnica (12), Kujawiak Kowal - Pogorń Mogilno (14), Lech Rypin - Unia Wąbrzeźno (15), Noteć Łabiszyn - Cuiavia Inowrocław (15), Victoria Czernikowo - Unia Gniewkowo (16), Mustang Ostaszewo pauzuje. © ©

Matty Cash z trofeum europejskim. Jako czternasty Polak w historii

Bartosz Głab, DK

redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Aston Villa pokonała w finale Ligi Europy SC Freiburg. Całe spotkanie rozegrał Matty Cash. Dla reprezentanta Polski było to pierwsze trofeum w piłkarskiej karierze.

Finał drugich najważniejszych rozgrywek klubowych UEFA od początku do końca został zdominowany przez jeden zespół. Aston Villa już po pierwszej połowie prowadziła 2:0 po dwóch efektownych trafieniach. Najpierw w 41. minucie wynik spotkania w Stambule otworzył belgijski pomocnik Youri Tielemans. Natomiast tuż przed przerwą do bramki przedstawiciela Bundesligi trafił Argentyńczyk Emiliano Buendia. W drugiej połowie zespół z Birmingham przypieczętował zwycięstwo. Wynik na 3:0 ustalił nie-



Matty Cash (z pucharem) świętuje z kolegami z Aston Villi

samowity w tym sezonie 23-letni Morgan Rogers.

Matty Cash już w 21. minucie otrzymał żółtą kartkę po ostrym faulu na Vincenzo Grifo, co mocno utrudniło mu grę w dalszej części spotkania. Mimo to,

trener Unai Emery postanowił pozostawić swojego zawodnika na boisku do ostatniego gwizdka sędziego.

- Prawy obrońca znalazł się w trudnej sytuacji po tym, jak już na początku meczu otrzymał

żółtą kartkę za nieostrożny faul, ale poradził sobie z tym bezbłędnie, choć jego podania nie zawsze były celne - ocenił występ 28-latkę portal Goal.com.

Piłkarz Aston Villi został czternastym reprezentantem Polski w historii, który sięgnął po triumf w europejskich rozgrywkach klubowych. W tym gronie są też między innymi Zbigniew Boniek, Jerzy Dudek, Robert Lewandowski czy Grzegorz Krychowiak. Ten ostatni w 2015 roku, będąc zawodnikiem hiszpańskiej ekipy Sevilla FC, wygrał Ligę Europy po zwycięstwie w finale na stadionie PGE Narodowy w Warszawie z ukraińskim Dnipro Dniepropietrowsk, a trenerem andaluzyjskiej drużyny był wtedy również Emery. Baskijski szkoleniowiec wygrał swój piąty finał Ligi Europy w szóstej próbie.

Cash po meczu w Stambule nie ukrywał radości ze zgarnięcia trofeum. Dla Aston Villi był to

pierwszy triumf w jakichkolwiek rozgrywkach od 24 lat, kiedy to wygrała nieistniejący już Puchar Intertoto.

- Był półfinał Ligi Konferencji, ćwierćfinał Ligi Mistrzów. Byliśmy blisko szczytu, ale czegoś brakowało. Teraz czujemy się niesamowicie, to zostanie z nami na długo. (...) Trzeba się napracować, żeby wygrać to trofeum. Niewiarygodne, że się udało! Będziemy bawić się do rana - powiedział 25-krotny reprezentant Polski w rozmowie z Polsat Sport.

Triumf Aston Villi w finale Ligi Europy istotnie wpłynął też na... losy w Europie wicemistrza Polski. Wyjaśniło się, że w drugiej rundzie eliminacji Ligi Mistrzów trafi na austriacki Sturm Graz lub tureckie Fenerbahce Stambuł. Jeśli przejdzie któryś z wymienionych solidnych europejskich marek, będzie mieć pewną fazę ligową Ligę Europy, ale do tego droga daleka.

W tym sezonie do rozegrania pozostały jeszcze dwa finały klubowych rozgrywek. W kolejną środę w finale Ligi Konferencji na Red Bull Arena w Lipsku zmierzą się angielski Crystal Palace i hiszpańskie Rayo Vallecano. 30 maja na Puskás Aréna w Budapeszcie odbędzie się finał Ligi Mistrzów, w którym zagrają francuskie Paris Saint-Germain i angielski Arsenal FC. Czy angielskie drużyny skompletują pucharowego hat tricka. Nie jest to wykluczone...

ASTON VILLA - SC FREIBURG 3:0 (2:0)

Bramki: Youri Tielemans (41), Emiliano Buendia (45+3), Morgan Rogers (58).

SC Freiburg: Atubolu - Kuebler (73. Makengo), Ginter, Lienhart (61. Rosenfelder), Treu - Beste (86. Guenter), Eggstein, Manzambi, Hoefler (61. Hoeler), Grifo (73. Scherhan) - Matanović.

Aston Villa: Martinez - Cash, Konsa, Torres (88. Mings), Digne (81. Maatsen) - McGinn, Lindelof (66. Onana), Rogers, Tielemans (88. Luiz), Buendia (81. Digne) - Watkins.

Sędziowie: Francoix Letexier (Francja). © ©

SPORT

www.sportowy24.pl

W Pradze do zdobycia są juniorskie medale i punkty do cyklu Grand Prix

Magdalena Zimna
magdalena.zimna@polskapress.pl

ŻUŻEL. Dziś w Pradze białoczerwoni powalczą o medale. Nasza juniorska reprezentacja jest w gronie faworytów. W sobotę kolejna odsłona cyklu Grand Prix.

W ubiegłorocznym finale Speedway of Nations 2 z powodu kontuzji nie mógł wystąpić Wiktor Przyjemski. W składzie reprezentacji zastąpił go wtedy Maksymilian Pawełczak i choć był jednym z najlepszych zawodników całego turnieju, Polacy nie spodziewanie zakończyli rywalizację bez medalu. Równie niespodziewanie, wygrali wtedy Niemcy.

Teraz Polacy liczą, że obędzie się bez takich „niespodzianek”. Trener Stanisław Chomski zdecydował, że do Pragi pojadą Wiktor Przyjemski z Abramczyk Polonii, Bartosz Bańbor z Motoru Lublin i Kevin Małkiewicz z Bayersystem GKM Grudziądz.

O medale osiem drużyn powalczą na praskim stadionie Marketa. Rywalami Polaków będą Czesi, Niemcy, Dania, Australia, Szwecja, Ukraina i Wielka Brytania. W gronie rywali nie brakuje mocnych zawodników; jest choćby indywidualny mistrz świata juniorów Nazar Parnicki. Białoczerwoni mają jednak - przynajmniej w teorii - najbardziej wyrównany skład i wymieniani są jako faworyci zawodów.

**2026 FIM SPEEDWAY OF NATIONS
PRAGA - LISTA STARTOWA:**

WIELKA BRYTANIA: Luke Harrison, Luke Killeen, Will Cairns

CZECHY: Adam Bednar, Adam Nejezchleba, Bruno Belan

NIEMCY: Janek Konzackm, Mario Hausl, Hannah Grunwald

DANIA: Villads Nagel, Bastian Pedersen, Mikkel Andersen

UKRAINA: Roman Kapustin, Nazar Parnicki, Danko Hladkowski

POLSKA: Wiktor Przyjemski, Bartosz Bańbor, Kevin Małkiewicz

SZWECJA: Rasmus Karlsson, Sammy Van Dyck, Erik Persson

AUSTRALIA: Mitchell McDiarmid, Tate Zischke, Beau Bailey

Finał Speedway of Nations 2 odbędzie się dziś, początek o g. 17.00. Transmisja w Player (Eurosport Pass) i HBO Max.

Dzień później w Pradze odbędzie się druga runda cyklu Speedway Grand Prix. Pierwszą, w Landshut, wygrał debiutujący w cyklu Kacper Worona. Trzeci był Bartosz Zmarzlik, siódme miejsce zajął Patryk Dudek, a dziesiąte Dominik Kubera.

Drugi w Landshut był Daniel Bewley. Brytyjczyka nie zobaczymy jednak w Pradze. W meczu ligi duńskiej miał wypadek i doznał kontuzji. Jak przekazał jego polski klub - Sparta Wrocław, Bewley złamał kość udową.

Grand Prix Czech odbędzie się w sobotę, początek o g. 19.00. Transmisja w Eurosport 3, Player (Eurosport Pass) i HBO Max.

HOKEJ

KH Energa Toruń się wzmacnia. Są kolejne transfery Fiński obrońca Mikael Tapio oraz trzech młodzieżowców: bramkarz Karol Marczak oraz obrońcy Emil Szotkiewicz i Jakub Izdebski podpisali kontrakty na najbliższy sezon z KH Energa. Fin to potężny defensor (193 cm wzrostu, 95 kg wagi). Do tej pory grał tylko w swojej ojczyźnie. Teraz sprawdzi się w Tauron Hokej Lidze. Z kolei trójka młodzieżowców przez ostatnie lata grała w MKS Sokoły Toruń.



FOT. GRAFKA KH ENERGA TORUŃ

HOKEJ NA TRAWIE

Od czwartku do niedzieli w Toruniu trwa Eurohockey Club Challenge II, którego gospodarzem jest Pomorzanin. W piątek torunianie zagrają o 17.45, a dzień później o 16.45. Mecze o miejsca w niedzielę o 8.30, 10.45, 13 i 15.

Dwa mecze od awansu, dwa mecze od porażki. A może...

Dariusz Knopik
dariusz.knopik@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. W sobotę i niedzielę o godz. 19 w Łodzi kolejne mecze finału 1. Ligi ŁKS - Enea Abramczyk Astoria Bydgoszcz. Transmisja w internecie w emocje.tv i Toya TV.

Po meczach w Bydgoszczy jest remis 1-1 w rywalizacji do trzech zwycięstw. To oznacza, że jeśli któraś z drużyn wygra dwa mecze to wywalczy awans do Orlen Basket Ligi. W przypadku podzielenia się wygranymi dojdzie do piątego decydującego meczu w Bydgoszczy, który zaplanowano na środę 27 maja.

„Mental” to podstawa

Rywalizacja w play offach to nie tylko odpowiednie przygotowanie fizyczne i taktyczne, ale przede wszystkim właściwe przygotowanie mentalne. Panuje przekonanie, że przy wyrównanych umiejętnościach zawodników to właśnie „mental” jest decydujący w rozgrywce. Kto umie sobie poradzić z presją, ten triumfuje.

Na razie było z tym elementem różnie wśród zawodników Astorii. W finałach przeciwko łódzkiej drużynie póki co, poniżej oczekiwań spisuje się Martyce Kimbrough, ale Amerykanin jest tego typu graczem, że jak zaskoczy, będzie nie do zatrzymania albo pokusi się o taki



FOT. DARIUSZ BŁOCH

Walki i zaangażowania w meczach Astorii z ŁKS nie brakuje. Stawką finałów gra w elicie w przyszłym sezonie

szalony rzut za trzy, jak w czwartym meczu przeciwko SKS Starogard Gdański, który zapewnił bydgoskiej drużynie awans do finału.

Ważne, by bydgoscy koszykarze dobrze „weszli” w mecz,

bo ostatnio mają z tym kłopot. Tak było w pierwszym meczu ćwierćfinałowym przeciwko Kotwicy Kołobrzeg. Także pierwsze spotkanie finałowe nie wyszło bydgoskim zawodnikom. Zresztą do połowy drugi

mecz finału też wyglądał słabo, ale po przerwie przyszło przebudzenie i właściwa reakcja.

Analiza i realizacja

Grzegorz Skiba, trener Astorii, po dwumeczu w Bydgoszczy powiedział, że będzie mocno analizował oba mecze i szukał jeszcze mądrzejszych rozwiązań i jeszcze mądrzejszej gry niż w drugiej połowie drugiego spotkania.

- Lepsza selekcja rzutowa i szybszy powrót do obrony, żeby zabrać atuty drużyny z Łodzi - podkreślał. - Za dużo nie poprawimy, jeśli chodzi o pewne elementy, którymi możemy zaskoczyć, aczkolwiek moment, w którym pewne rzeczy możemy zrobić, to może być zaskoczeniem i line-upy (wyjściowe składy - przyp. red.) też mogą być zaskoczeniem dla drużyny przeciwnej. Jak będziemy zdrowi, to jestem bardzo dobrej myśli i znając mój zespół, gramy lepiej na wyjazdach - podkreślił szkoleniowiec „Asty”.

Dodajmy, że w rundzie zasadniczej Astoria przegrała u siebie z ŁKS i pokonała go na wyjeździe. Jak będzie teraz?

W Łodzi też ogromna mobilizacja. Spotkanie ma oglądać komplet kibiców. Oczywiście wybiera się na niego grupa fanów „Asty”.

W sobotę o godz. 16 drugi mecz o trzecie miejsce Spójnia Stargard - SKS Starogard Gdański (1-0). ©©



FOT. JAROSŁAW PABLIAN

W polskiej reprezentacji na SoN2 są Wiktor Przyjemski, Bartosz Bańbor (oba na zdjęciu) i Kevin Małkiewicz

Paweł Wiśniewski
sport@polskapress.pl

SIATKÓWKA. W pierwszym meczu towarzyskiego turnieju Silesia Cup, nasi siatkarze przegrali w Sosnowcu z Serbią 2:3 (25:23, 22:25, 26:28, 25:22, 14:16). Polacy zagrają jeszcze z Ukrainą i Bułgarią.

Tym samym, podopieczni Nikoli Grbica rozpoczęli sezon reprezentacyjny.

Serbski szkoleniowiec na razie dał odpocząć m.in. Wilfredo Leonowi, Tomaszowi Fornalowi

czy Jakubowi Kochanowskiemu. W składzie meczowym pojawiło się za to wielu młodych zawodników, w tym m.in. Jakub Przybyłkowicz, najmłodszy debiutant w historii polskiej siatkówki. W momencie powołania do reprezentacji miał dokładnie 16 lat, 11 miesięcy i 9 dni. 17. urodziny obchodził na zgrupowaniu kadry w Spale.

Silesia Cup to jedyny turniej towarzyski, który białoczerwoni rozegrają przed rozpoczęciem się 10 czerwca Ligą Narodów (w piątek z Ukrainą, a w sobotę z Bułgarią - oba mecze w Ka-

towicach o godz. 20.00). W pierwszym tygodniu zmagania „2026 FIVB Volleyball Men's Nations League”, Polacy zmierzą się w chińskim Linyi z Kubą, Słowenią, Japonią i Ukrainą (10-14 czerwca).

Kolejne turnieje Ligę Narodów to 24-28 czerwca - Gliwice, 15-19 lipca - Chicago i 29 lipca-2 sierpnia turniej finałowy, ponownie w Chinach, tyle że tym razem w Ningbo.

Po powrocie do kraju, naszych siatkarzy czeka Memoriał Huberta Jerzego Wagnera w Krakowie (28-30 sierpnia).

Najważniejszą imprezą w tym roku będą oczywiście mistrzostwa Europy, rozgrywane w Bułgarii i we Włoszech w dniach 9-26 września, w których nasi siatkarze będą bronić tytułu.

Rozgrywki kontynentalne mają w tym roku podwójną stawkę - oprócz tytułu, zwycięzca wywalczy również kwalifikację na Igrzyska XXXIV Olimpiady, które w 2028 roku zorganizuje Los Angeles.

W tym roku, polskich siatkarzy czeka co najmniej 30 meczów reprezentacyjnych.